



Czerwony
płomień
Sebastiana

Janina Zającówna

JANINA ZAJĄCÓWNA

CZERWONY PŁOMIEŃ SEBASTIANA

Zastanawiam się często, jak żyłam, kiedy go nie znałam, jak mogłam spać, poruszać się, chodzić po ulicach, wyjeżdżać nad morze. Nie. To niemożliwe. Kiedy go nie znałam, mnie również nie było. Żyłam w uśpieniu, czekając na ten dzień. Wtedy dni były znaczone tajemniczym tchnieniem: karnawał, zima, zasy na ulicach i niebo białe od chmur śniegowych.

Teraz patrzę na niebo wypalone słońcem, które również jest białe, lecz ta biel parzy ogniem, zmusza do ucieczki w cień lub do szukania osłony w ciemnych szklach okularów, gdyż rani wzrok.

Tęsknię za śniegiem i za tym drzewkiem, co wpatrywało się w nasze okna. Ku niemu codziennie rano, budząc się, kierowałam pierwsze spojrzenie. Lubiłam ten dom z niewielkim ogródkiem, krzyki sąsiadów nigdy mi nie przeszkadzały, hałas w naszym domu też nie był dokuczliwy... Miałam siedemnaście lat, była zima i ja kochałam wiersze Gałczyńskiego, sama też chciałam pisać, myślałam, że się do tego dorasta, wystarczy dużo czytać, wsłuchiwać się w szelest wiatru, w mowę gwiazd i rozbłyski światła, gromadzić to w sobie niczym jakieś skarby, a poezja sama wybuchnie, objawi się światu w swej najczystszej postaci.

Żyłam w świecie swoich fantazji, wiem, ale tamta odległa zima była kwintesencją poezji i był karnawał... Cieszyliśmy się, że jest. W naszym domu też było wesoło. Mama szykowała się na bal u ojca w pracy, włożyła suknię z brokatu, mieniącą się złocistymi gwiazdkami, którą uszyliśmy dla niej z babcią, złote pantofle, umalowała oczy...

Ja się nigdzie nie wybierałam, miałam zamiar czytać i patrzeć, jak zmrok otula okna i jak świerk srebrzy się w blasku latarni. Nic z tego nie wyszło, ponieważ zadzwoniła Iwona, kazała mi się ładnie ubrać i przyjść. Należała jak nigdy. Nie potrafiłam się wykręcić. Pojechałam.

U niej było jak zwykle więcej dziewcząt niż chłopców, więc wszyscy razem kręciliśmy się w takt głośnej muzyki. I wtedy wszedł Stefan w towarzystwie rozszczebiotanej cukierkowej blondynki. Oboje przyprószeni śniegiem, zaczerwienieni od mrozu. On zrzucił krótki kożuszek w przedpokoju i usiłował przygładzić włosy, ale one nie chciały go słuchać, więc wszedł z nastroszoną czupryną chuchając na zziębnięte dłonie. Zatrzymał się jeszcze w drzwiach do pokoju i nadal próbował ucywilizować swoje niesforne włosy.

Nagle zobaczył mnie i zapomniał o nich, uśmiechnął się i od tego momentu patrzył już tylko na mnie. Pod wpływem jego uśmiechu i spojrzenia tak odmiennego od wszystkich, bez chwili wahania podeszłam do niego i zapytałam czy chce zatańczyć. Skinął głową i z jeszcze szerszym uśmiechem wziął mnie za rękę tak jakoś miękko, serdecznie, że zapragnęłam zostać z nim dłużej. Chciałam tylko, żeby mnie trzymał za rękę, nic więcej. Iwona włączyła tango. Tańczyliśmy w jakimś dziwnym zauroczeniu, nie dostrzegając nikogo. Tuliłam się do niego, on do mnie. W pewnej chwili dotknął mojego rozpalonego czoła.

– Co my tu robimy? Chodźmy stąd! – powiedział. – Chodźmy stąd! Szybko! Szybko!

Wyszłam za nim. Iwona wołała: Iga! Zaczekaj! Dokąd ty się śpieszysz? Stefan, dokąd ty idziesz? Dopiero przyszedłeś. Co wy wyprawiacie? Psujecie mi zabawę. Jest bigos, barszczyk...

– Bigos! Barszczyk! O Boże! Zwariowała chyba – śmiał się Stefan trzymając mnie za rękę.

Wyszliśmy na podwórze, wokoło cicho, ciemno. Księżyc wysunął się zza komina i groźnie na nas spoglądał. Zrobiło mi się głupio, że tak wyszliśmy. Powiedziałam:

– Może wrócimy?

– Chcesz? – przestraszył się, w jego głosie wyczułam rozpacz. – Chcesz wrócić?

– Nie, ale to nie wypada, głupio.

– Daj spokój! Co ty opowiadasz, głupio. Spójrz na ten księżyc, jak on na nas patrzy. Daj mi rękę! Och! Jaka ciepła, jaka miękka jest twoja ręka. Masz długie palce, grasz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałam. Nie mamy pianina. Zresztą kto mnie miał uczyć?

– Ja cię nauczę. Będiesz grać najpiękniejsze walce Chopina, mazurki, polonezy...

– Jestem za stara, grać trzeba się uczyć wcześniej. Może jednak wrócimy? Przyszedłeś z dziewczyną, tak mi się zdawało. Jak ona ma na imię?

– Grażyna. Mieszka tu niedaleko, może wrócić sama do domu, nic jej się nie stanie.

– Ale to twoja dziewczyna! Pisałeś do niej wiersze!

– Skąd wiesz? Nie pisałem wierszy do żadnej dziewczyny, ale dla ciebie napiszę, z tobą będę mówił wierszami, skomponuję nawet symfonię.

– Przepraszam, ty komponujesz?

– Nie, ale czy to trudno napisać symfonię, patrząc w twoje oczy?

– Och! Wróćmy tam lepiej. Iwona miała rację zatrzymując nas, głupio wyszło.

Iwona mieszkała na małej uliczce w pobliżu placu Zbawiciela, stamtąd szliśmy w dół Belwederską na Sadybę, był śnieg, ślisko, rzadkie samochody ledwie mąciły ciszę, gdzieś w dole przy Belwederskiej natknęliśmy się na sprzedawcę baloników, kupiliśmy jeden, on wyrwał się, opadał na ziemię jak ptak, biegaliśmy za nim łapiąc go i parę razy nasze ręce zetknęły się ze sobą. Stefan śmiał się tak jakoś zaraźliwie, ochoczo i śmiejąc się powiedział:

– Jakie ty masz piękne oczy, jak muszle, błękitne muszle, widziałeś kiedyś błękitne muszle?

- Nie ma takich. Muszle są białe, szare, brązowe, niebieskich nie ma.
- Na pewno są, masz oczy jak muszle, włosy jak deszcz...

Wiedziałam, że to nieprawda. Moje włosy były nijakie, nie miały określonego koloru, ni to blond ni szare, jakieś płowe, słowiańskie kłaki poskręcane w loczki, trudne do rozczesania, a on powiedział, że są jak deszcz, tworzą aureolę, koronę czy też srebrny kask. Takie jakieś rzeczy mówił, wstyd je nawet powtarzać, może przy księżycu na tle śniegu tak wyglądały, nie wiem, wszystko było nierzeczywiste, ten balonik, i ta cała noc biała z dziwnymi latarniami, i jacyś pijacy. W Warszawie oni stanowią nieodłączną część krajobrazu. Nie zaczęli nas, jeden poprosił Stefana o papierosa, a kiedy go dostał powiedział:

- Jest pan moim dozgonnym przyjacielem, gdyby pan czegoś potrzebował, spotka mnie pan tu i tu...

W domu babcia siedziała przed szemrzącym telewizorem.

- Co to, nie udała się zabawa – spytała zdziwiona – już jesteś?

- Babciu, przyszedłam z kolegą, pozwól, że ci go przedstawię.

– A chodźcie, chodźcie – ucieszyła się. – Sobota, karnawał, wszyscy się bawią, a w telewizji jakaś bzdurna komedia nie do wytrzymania. Więc co, napijemy się herbaty? Upiekłam ciasteczka, twoje ulubione.

Stefan też je polubił, chociaż były twarde jak kamienie. Babcia objęła go szczerym uśmiechem i zapytała:

- Coś ty taki chudy?

On się speszył.

- Chudy, nie wiem, rosnę jeszcze.

- Ile ty masz lat?

- Dziewiętnaście.

- I jeszcze rośniesz?

- Chyba tak.

- Jesteś wystarczająco duży, masz dwa metry?

- Nie, metr osiemdziesiąt pięć.

- Iga ma metr sześćdziesiąt pięć, jesteś od niej o dwadzieścia centymetrów dłuższy.

Przyniosła herbatę, ciasteczka, a my chcieliśmy już wtedy być razem, patrzeć na siebie i milczeć.

Babcia zgarnęła nas do swego pokoju i nie było mowy, żeby się od niej wyrwać, pokazywała zdjęcia, jak byłam dzieckiem i jak szłam na bal, przebrana za biedronkę. Stefan oglądał je zachłannie z wyiekami na twarzy i porównywał mnie z tamtą smarkulą siedzącą w łóżku czy nagą z podniesionymi tłustymi nogami, rozwrzeszczaną.

- Nie, to nie jesteś ty, ty nie mogłaś krzyżeć, nie mogłaś.

– Krzyżała, krzyżała – potwierdziła babcia. – Była wrzaskliwym dzieckiem. Jak miała złe noce, stawiała na nogi cały dom. Nie było sposobu, żeby ją uspokoić. No, teraz nie wrzeszczy, teraz jak się złości, to z nikim nie rozmawia.

- Potrafisz się złościć?

Znowu spojrział na mnie tymi oczami, w których był blask pogodnego nieba. Nikt nie miał takich oczu, nikt do mnie nie mówił tak tkliwie i miękko, z takim zachwytem, głosem pełnym muzyki. W banalne pytania wkładał całą duszę.

- Naprawdę się złościysz?

Ja się uśmiechnęłam.

- Pewnie nie potrafisz.

- Potrafię. Każdy się złości.

- To się złość, tylko nie na mnie, złość się na wszystkich, ale nie na mnie.

- Dlaczego miałabym się na ciebie nie złościć?

- Bo ja cię lubię. Nie można złościć się na człowieka, który cię lubi.

– O, ją wszyscy lubią, zapytaj w szkole – uśmiechnęła się babcia. – Koleżanki przepadają za nią. Każdą wysłucha, pocieszy, dla każdej znajdzie jakąś radę i czas, dla mnie i dla siostr go nie ma, ale dla koleżanek ho, ho. Siostry też ją lubią, a ja chyba najbardziej. – Pokiwała głową. – No to idźcie już stąd, chcecie posiedzieć sami, pogadać, a ja wam dziękuję, och, zmęczyłam się chyba – wyrzuciła nas z pokoju.

Nagle znaleźliśmy się w pełnym świetle, okropnie ostrym, jasnym, sami. Zrobiło nam się jakoś niezręcznie. Co będziemy robić, pomyślałam w popłochu. Rozmazał mi się tusz na powiekach, włosy jeszcze bardziej się rozwichrzyły. O czym będziemy rozmawiać? Byłam nieludzko speszona, zdenerwowana, włączyłam adapter i nastawiłam to, co słuchałam najczęściej, „Koncerty brandenburskie” Bacha, zapaliłam czerwoną świecę, bardzo lubiłam czerwony kolor, płomień oczywiście nie był czerwony, ale świece tak.

- Lubisz Sebastiana? – zdziwił się.

Skinęłam głową. Stefan usiadł na podłodze, ja obok, świecę postawiliśmy między siebie i słuchaliśmy; skończyła się płyta. W ciszy, która wydawała nam się nieposkromiona, obejmująca wszechświat, rozległo się chrapanie babci, przerywane poświstywaniami, wdarło się między nas nagle i zaraz ucichło. Świeca dopalała się, skwierczał płomień. Wstałam, Stefan zrozumiał, że trzeba iść, czas się żegnać, nie wiedziałam która godzina, bałam się, że rodzice zaraz wrócą z balu, albo że siostry się zbudzą, wejdą do nas, narobią hałasu. Chciałam, żeby poszedł, wołałam śnić o nim, wyobrażać go sobie, ale nie chciałam, żeby był, jeszcze się z nim nie oswoiłam, on był jeszcze obcy.

- Co, już mam iść? – zamrugał oczami.

– Rodzice wrócą niebawem. Jest późno. Zresztą nie wiem...

Wyszedł, okrążył dom dookoła, zajął do mnie przez okno, położył dłoń na szybie, a potem przywarł do niej całą twarzą. Zostałam z jego obrazem w oczach. Z czubem włosów sterczących nad czołem wyglądał śmiesznie i pięknie. Śmiał się oczami, które były niebieskoszare, zmieniały barwę w zależności od światła.

Nie spałam, zamykałam oczy, chciałam zasnąć, mówiłam: za chwilę zasnę, już, już i nic. Wlokła się za mną jedna sprawa, z którą nie wiedziałam co zrobić. Chciałam być okrutna i nie mogłam. Mówią, że kobiety są okrutne, a ja nie byłam, nie kochałam jeszcze. To dlatego. Miłość wyzwala najgorsze instynkty, okrucieństwo, sadyzm, bezdusność. Nie wiedziałam, że kiedy się kocha, bezwiednie i jakby mimochodem zadaje się innym ból. Jeszcze nie kochałam, a już byłam gotowa zadawać ból. Myślałam o chłopaku, którego poznałam na wakacjach, kiedy byłam z rodzicami nad morzem. Oni wieczorami grali w brydża, a ja pilnowałam sióstr. Czasem, kiedy mi zalazły za skórę, zamykałam je na klucz i szłam do świetlicy, gdzie odbywały się tańce, właściwie zaglądałam tam tylko i wychodziłam speszona. Przerazały mnie chwile wyczekiwania przed tańcami, nie mogłam ustać w miejscu, czułam się jak niewolnica wystawiająca na sprzedaż swoją twarz i ciało, obleczone w kretonową sukienkę.

Któregoś wieczoru zostałam dłużej niż zwykle, taneczne rytmy przyciągały tajemną mocą, wabiły, uległam im i zaczęłam podrygiwać idąc do drzwi.

– Czy mogę, czy mogę prosić? – Chłopak, którego widywałam wcześniej w stołówce, wyciągnął do mnie szorstkie dłonie z pęcherzykami od wioseł. Nie odpowiedziałam, ale pozwoliłam prowadzić się w tańcu. Tętno gęstniało, muzyka otaczała nas wilgotną pianą, lekki wietrzyk wskakiwał przez okno. Dźwięki płynące z głośników układały się w dziwne figury, szybko, szybciej... Chłopak zwiększał tempo i ostro na mnie nacierał. Ja się cofałam, odskakiwałam, a raz z całym impetem rzuciłam się w jego stronę i zaraz uciekłam. On uniesionymi dłońmi wybijał zgrabne rytmy, którym poddawały się nawet stateczne matrony.

Nagle muzyka umilkła, ucięta końcowym akordem. Pary złączone dotąd w uścisku odskakiwały od siebie, w nagłej ciszy zamierały czułe westchnienia, intymność dotychczasowych gestów stała się nieprzyzwoita. Kiedy dotarłam do drzwi, szorstkie ręce z pęcherzykami od wioseł zatrzymały mnie znowu. Przyszły im w sukurs dźwięki perkusji i skrzypiec. Zostałam. Nie obchodziło mnie, co mówił chłopak. Z głośników płynęło somnambuliczne tango. To wystarczyło. Niepotrzebne mi były słowa. Zrozumiał to i przestał się odzywać, ale w krótkich przerwach między tańcami stawał w wąskim przejściu prowadzącym do drzwi i z zaciętym wyrazem twarzy zagradzał mi drogę, nic już nie mówił, onieśmielony moim milczeniem. Odpychałam go, kiedy mnie przytulał, a raz niespodziewanie przyciągnęłam go do siebie i musnęłam ustami w policzek. „Było to jak dotknięcie Boga” – powiedział. Ja się odsunęłam i poszybowałam do wyjścia. Dogonił mnie i wtedy zgasło światło. Wszystko zniknęło w mroku, nikt nikogo nie widział, gwiazdy na czarnym niebie zapłonęły jaskrawiej.

– Wyjdziemy? – zapytał z determinacją w głosie.

– Tak – potwierdziłam i nie wyrwałam ręki. Szedł przodem trzymając się ściany, ja posłusznie podążałam za nim. Na dworze było jasno. Księżyc wytrysnął z morza i piął się do góry. Zadrzałam od wieczornego chłodu, a on bez chwili wahania podał mi swoją kurtkę. Podziękowałam wciągając ją na siebie.

– Ty jednak mówisz? – zdziwił się śmiejąc. – To dlaczego milczałaś do tej pory?

– Widocznie nie miałam nic do powiedzenia.

– Mogłaś przynajmniej powiedzieć, że dobrze tańczę.

– Przecież wiesz o tym.

– Wiem, a jednak chciałbym to usłyszeć od ciebie.

– Tańczysz wspaniale. Szkoda, że to już koniec. W takich dziurach jak ta wyłączają zazwyczaj światło na kilka godzin – patrzyłam w niebo, urzeczona księżycem, który wznosząc się coraz wyżej wydobywał z mroku skupisko domków kempingowych przyrosnięte do brzegu. W jednym z nich moi rodzice grali w brydża. Za tymi domkami las szumiał kusząco i groźnie. Zapraǳę tam pójść. Chłopak się sprzeciwił.

– To niebezpieczne – powiedział. – W ubiegłym roku w tym właśnie lesie znaleziono ciało młodej dziewczyny.

Ruszyłam bez słowa w kierunku plaży, tam było bezpiecznie, chociaż mniej romantycznie. Plaża cieszyła się powodzeniem nie tylko w dzień, w nocy przesiadywały w koszach zakochane pary i dziarskie staruszki niezmordowane w podziwianiu widoków. Udało nam się znaleźć wolny kosz. Usiadłam i uśmiechnęłam się do siebie. Fale lizwały brzeg i odpływały z pluskiem. Rozcapierzony księżyc niczym żar-ptak z rosyjskich bajek czuwał nad wszystkim i pilnował, żeby nikomu nic złego się nie stało. Wiedziałam, że chłopak mnie kocha i że w tej chwili gotów jest dla mnie wszystko uczynić, ja go też kochałam, jutro pewnie o nim zapomnę, on o mnie też, rozproszymy się po świecie, każde pojedzie w swoją stronę, nie będziemy wymieniać adresów, niech tak zostanie, chłopak jednego wieczoru, kilku tańców i jednej chwili. Poprosiłam, żeby objął mnie i pocałował... To go wprawiło w zakłopotanie. Nie lubi – powiedział – kiedy dziewczyny przejmują inicjatywę, chce pokonywać przeszkody, krok po kroku zmierzać do celu, więc ja powinnam być jak skała, twarda, nieustępliwa, nie do zdobycia.

– Och! Nie zdobędziesz mnie nigdy – roześmiałam się.

Nie wiedział, z czego się śmieję i nie przestawał się oburzać. Powinam się wstydić, nigdy nie przypuszczał, że jestem taka zepsuta – zbierało mu się na płacz, a ja śmiejąc się mówiłam:

– Chciałabym być zepsuta, ale nie jestem, nie będę, bardzo żałuję, nie potrafię być kimś innym niż jestem, chcę robić to, co inni, i nie potrafię, to moja największa wada. Nie rób takich okrągłych oczu, nie bądź taki czysty, nieskazitelny, to mnie okropnie złości. Chwila przeszła, minęła i nie powróci. Byłam w tobie śmiertelnie zakochana, a teraz chcę spać.

– Jak na niemowę gadasz stanowczo za dużo. Pozwól i mnie przeżyć coś podobnego. – Pochylił się i patrzył na mnie świetlistymi oczyma, przysunął nieśmiało rękę i chciał zanurzyć mi palce we włosy, cofnął ją zaskoczony, moje włosy niczym kolczaste krzewy broniły się same, został z rozpląszczoną dłonią nad moją głową.

– Co ty masz za włosy – wykrzykiwał – jakaś wiązka siana, zwoje kolczastego drutu?

Odepchnęłam go mówiąc, żeby się nie kłuł. Próbował się zrehabilitować. Nie słuchałam go. Chwila przeszła, minęła, był mi zupełnie obojętny. Wlókł się za mną grzęznąć w piasku i mówił, mówił do ściany, bo ja go nie słuchałam.

Moje siostry ze wszystkiego robią sensację, ich rozhuśtana wyobraźnia każdą błahą sprawę przeistacza w zdarzenie, chodzą, szpiegują, zadają się z bandą takich samych gnojków jak one, zaśmiecają świetlicę, plac zabaw i pobliski lasek. Mają swoje wojsko, ciężką artylerię, zwiadowców, telegrafistów, spadochroniarzy, jedną lornetkę, sygnalizacyjne lustro i nieprzebrane ilości gumy do żucia. Szepczą ustawicznie po kątach, robią jakieś głupie miny, kiwając się na krzesłach. Mnie to okropnie złości, karczę je, uspokajam, one mają to gdzieś. Lekceważą mnie demonstracyjnie, mamy się bojać, ojca słuchają, a mnie lekceważą.

– Wyjechał – mówią – rannym pociągiem do Łodzi. Kazał ci się kłaniać. Mama nie wytrzymuje i pyta kto, wtedy one na wyścigi, wpadając sobie w słowa, relacjonują: – Tańczył z nią cały wieczór, cały czas z nią. Mama nie potrafi skryć niepokoju, usłużna wyobraźnia podsuwa jej wszystko co najgorsze, co sama kiedyś przeżyła, zna i pamięta, a o czym usiłuje nigdy nie myśleć. Wtedy była okupacja, stan permanentnego zagrożenia wyciskał na wszystkim swe piętno, żyło się w przyspieszeniu, dniem dzisiejszym, bojąc się myśli o przyszłości, a tym pięknym chłopcom, którzy szli na akcje, nie wypadało odmawiać, wtedy ta ich pozorna rozwiązłość była uzasadniona potrzebą chwili, koniecznością i obowiązkiem, a teraz młodzież po prostu jest rozwydrzona, chce mieć wszystko od razu, na nic nie chce czekać, niczego sobie nie odmawia. Mama chciałaby oszczędzić nam, swoim córkom, złych doświadczeń i przykrych przeżyć, ale nie wie jak to zrobić.

Nikt nie wie. Ja najbardziej ją niepokoję. „Wiem, mówi, że jesteś skryta, nieufna i coraz ładniejsza. Mężczyźni lubią ten typ, niewysoka blondynka o twarzy dziecka i wyrazistych oczach, które zbyt często popadają w zadumę”.

Gdakanie sióstr nie milknie ani na chwilę. Mama lekceważącym uśmiechem bagatelizuje sprawę, nie może się jednak powstrzymać od pytania o tego chłopca. Chciałaby wiedzieć, gdzie go poznałam.

– Nigdzie – odpowiadam ze złością. – One konfabulują. – Morduję je spojrzeniem, nareszcie milkną, a mama patrzy z niepokojem na swoje córki tak odmienne i różne, i w duchu dziękuje Bogu, że ten chłopak wyjechał. My też wyjeżdżamy, kończą się wakacje, na które znów przyjdzie czekać cały rok.

Chłopak o szorstkich rękach z pęcherzykami od wiosł nie zniknął z mojego życia. W sobie tylko wiadomy sposób – przypuszczam, że moje siostry maczały w tym palce – zdobył mój adres i przysyłał listy, w których pod wachlarzem słów skrywał swoje prawdziwe uczucia. Odgadłam to bez trudu. Po cóż by pisał, mając tyle zajęć, piłkę, pływanie, angielski i szkołę techniczną, której nie znosił, musiał ją jednak skończyć, żeby robić to, co naprawdę lubił, to znaczy studiować na AWF-ie w Warszawie, nawet gdyby miał dojeżdżać codziennie pociągiem z Łodzi dwie i pół godziny w jedną i tyleż samo w drugą stronę. Podobał mi się jego upór, jasność, zdecydowanie w dążeniu do celu. Wiedziałam, że wszystkie przeciwności, których nikomu nie szczeni los, pokona w biegu. Życie takich jak on układa się według znanych schematów, niezależnie od tego czy towarzyszy im pasja, czy wyrozumowany upór w dążeniu do celu. Jemu towarzyszyła pasja i to mnie ujęło.

Odpisałam na list, niezbyt wylewnie, kilkoma zdaniem, wiedziałam, że cokolwiek bym napisała, nie ma znaczenia. Znajomość z tym ładnym chłopcem umrze śmiercią naturalną. Już tak nieraz bywało. Wakacyjne przyjaźnie, flirty i zauroczenia trwały najwyżej kilka tygodni, nie podsycany ogień gaśnie nieuchronnie, tym bardziej że w sobie nie czułam żaru, zaciekawienie nim również nie było wielkie i gdyby nie determinacja i upór z jego strony natychmiast zapominałabym o nim.

Zaraz po tym liście przyjechał do Warszawy pod wymyślonym pretekstem. Chodziło o jakieś eliminacje czy mecz, nie pamiętam. W każdym razie trafił jak najgorzej, do mnie przyszło kilka osób, ja podawałam kanapki i napoje, niewiele tańczyłam, z nim wcale, dopiero w niedzielę miałam dla niego trochę czasu, czytałam mu wiersze, mówiłam o teatrze. On siedział otepiały, ziewał, wreszcie zasnął w fotelu, wypędziłam siostry z pokoju, żeby mu nie przeszkadzały, domyśliłam się, że ostatnią noc spędził na dworcu. O czwartej odprowadziłam go na pociąg. Powiedziałam, żeby nie przyjeżdżał, jeżeli nie ma się gdzie zatrzymać, niech nie przyjeżdża, nie chcę się z nim widywać, nie chcę takich ofiar.

– Są sprawy, które wymagają ofiar – wyszeptał zbieleiałymi wargami i cmoknął mnie w policzek.

Pociąg gwizdnął przeciągle, po kołach przebiegło drżenie. Ujrzałam go jeszcze, jak przeciskał się przez korytarz, szukając miejsca w zapchanym wagonie. Wracalam pieszo do domu, cieszyłam się, że jest wiatr i pierwsze płatki śniegu kręcą się jak motyle. Wcale nie myślałam o nim, a on przyjeżdżał nadal, z tym że już nie nocował na dworcu. Jeszcze w liście przykazałam, żeby tego nie robił, niech przyjeżdża rannym pociągiem w niedzielę, pójdziemy do muzeum, pokażę

mu miasto. Potem miałam kłopot ze spełnieniem tej obietnicy. Nie wiedziałam, co można pokazać chłopakowi z Łodzi, kino miał u siebie, teatr również, zresztą i tak by nie zdążył. Z Pałacu Kultury też nie najciekawszy widok, z zachodniej strony straszły jeszcze nagie czerepy domów, Wisła była mętna i szara, zwłaszcza że skończyły się pogodne dni i miasto pod ciężką zasłoną jesiennego nieba było puste. Na kawiarnie nie mieliśmy forsy, chodzenie po omszałych, śliskich ulicach z topniejącym śniegiem na twarzy nie należało do przyjemności, zresztą jesień odsłoniła stare i nowe blizny na domach, cuchnące śmietniki, dziury w jezdni zamienione w kałuże, wybite szyby w tramwajach, połamane stopnie przy wejściach do autobusów. Wszystko to nagle odkryłam chodząc z nim po mieście. Męczyły mnie bezsensowne wędrówki, nudziły sprawozdania Darka o pobitych rekordach i strzelonych bramkach.

W domu kochane siostrzyczki tylko czekały na nasz powrót, witały nas już przy furtce, uśmiechnięte, pyzate, strzygły uszami, łowiąc każde słowo. Jutro albo jeszcze dzisiaj powtórzą je mamie, a ona zamiast je skarcić uśmiechnie się z pobleżaniem, rada, że i tym razem nic nie umknęło jej uwadze. Zresztą już przestała się o mnie martwić, Darek przypadł jej do serca, polubiła jego ogorzałą twarz, pewne, otwarte spojrzenie, czysty śmiech, a nawet gadanie o sporcie. Piekła dla niego ciasto drożdżowe z kruszonką, które on połykał w biegu, nie szczędząc jej pochwał. Siostry wieszały się na nim, powierzając mu szeptem jakieś niezwykle tajemnice.

W niedzielę u nas jest zawsze mięso. Choćby nie wiem jak krucho było z forszą, jest pieczeń wołowa lub schab i zupa pomidorowa z ryżem, obowiązkowo kompot czereśniowy, a po krótkiej przerwie, ponieważ Darek musi się spieszyć, ciasto drożdżowe z kruszonką i wodnista herbata. Mama dla siebie parzy kawę w szklance, polskim sposobem, który nazywa tureckim, ojciec wypija kieliszek nalewki z czarnej porzeczeki i idzie na górę się zdrzemnąć. Żegna się z Darkiem mocnym uściskiem dłoni, wyrażając nadzieję rychłego zobaczenia się z nim. On też go lubi, wszyscy w naszym domu przepadają za nim, wszyscy prócz mnie i babci, która prawie go nie dostrzega. Darek kończy pić herbatę, zdecydowanym ruchem sięga po serwetkę, wyciera usta, wszystko w nim zgrane, celowe, pozbawione wahań, energia przepływa w określonym kierunku, nie rozłazi się po bokach. Całuje mamę w rękę i chwali obiad, placek, a nawet herbatę. Mama pęcznieje z dumy.

– Dobry z ciebie chłopiec i miły, potrafisz docenić cudze starania – patrzy z ukosa na mnie i ma mi za złe, że ja jestem źle wychowana, jem z nosem w książce, nie zauważając co, spóźniam się na obiad, nigdy niczego nie chwalebę.

Mama odprowadza Darka do przedpokoju, każe mu się zapiąć, naciągnąć czapkę na uszy i po krótkim wahaniu zaprasza go na następną niedzielę, każe mu przyjechać w sobotę i ofiarowuje nocleg w dużym pokoju, który jest jednocześnie kuchnią, jadalnią, salonem i pokojem gościnnym. W pewnej chwili rzuca mi niepokojące spojrzenie i pyta, co ja na to. Boi się, że powiem coś niestosownego. Kiwam głową, to ją usposabia do mnie życzliwie. Trzeba jechać na dworzec, w autobusie milczę, on mówi, ja nie słucham, puste gadanie, pozbawione cienia refleksji, niekontrolowany strumień wody, w którym jest jakiś kolega, oczywiście sportowiec, biegi popołudniowe, marsze jesienno-zimowe, i najnowsze nagrania. Tłok coraz większy, dużo oddechów i dużo słów, nareszcie dworzec, wysiadamy, cmok, cmok i do widzenia. Ludzi pełno w przedziałach, pociąg gwizdże, nie ma go, skrył się w oddali, mogę opuścić rękę.

Za każdym razem chcę mu to powiedzieć, wypieściłam w sobie te słowa, powtarzam je w myślach i za każdym razem opuszcza mnie odwaga, droga w ścisłości na dworzec trwa długo, na przystanku nigdy nie jesteśmy sami, wszędzie pełno ludzi, nie mam nigdy ochoty wziąć go za rękę, powtarzam matematyczne wzory. Boże! Boże! Dlaczego ludzie torturują innych w ten sposób. Jeśli o mnie chodzi, mogę obejść się bez całek, różniczek i funkcji. Będę pisać wiersze. Czy znajomość wyższej matematyki pomaga w pisaniu wierszy? Wolałabym się uczyć łaciny, kupiłam nawet podręcznik w antykwariacie. Łacina i włoski – to języki, które powinien znać każdy cywilizowany człowiek. On optuje za angielskim. Po co komu włoski? Nie przestaje się dziwić. Cały świat mówi po angielsku.

To nie może tak trwać, przyjazdy, odjazdy, jego mocne uściski, parę nieśmiałych pocałunków, jakieś słowa, których się nie pamięta, tańce u Iwony, inne od tamtych nad morzem, kieliszek szampana i jego zgorzone spojrzenie. Gwizd pociągu, ręka idzie w górę. Odjazd.

Chciałam być okrutna i nie umiałam. To przyszło samo. Okrucieństwo jest wpisane w nasze życie jak śmierć, można postanawiać zostać aniołem i tak się to nie udaje. Życie wywlecze wszystko, nie oszczędzi nikogo.

Po tym wieczorze u Iwony Stefan nie pokazał się, nie przysłał listu, nie mógł zadzwonić, ponieważ nie mieliśmy telefonu. Pierwszy raz żałowałam, że go nie mamy, wieczorem zrobiłam ojcu awanturę.

– Wszyscy – mówiłam – mają telefony. Iwona, Grażyna, Majka, a my nie, na tym zadupiu, na tych peryferiach gdzie diabeł mówi dobranoc, odcięci od wszystkiego.

Ojciec zdziwiony moim wybuchem zmarszczył brwi: odsapnął i powiedział z poczuciem winy, że złożył podanie, trzy lata już czeka, jak uruchomią nową centralę, dostaniemy telefon w pierwszej kolejności. Tłumaczył się, a ja zachęcona jego skrucą mówiłam dalej:

– Wszystkie dziewczyny mają swoje pokoje, a ja nie mam gdzie się skryć ze swoimi myślami, nie mam gdzie się uczyć, te dwie jędze depczą mi po piętach.

– Coś ty taka nerwowa – zaniepokoiła się mama – dostałaś kartkę od Darka. Co on pisze? Ma jakieś kłopoty?

– On i kłopoty! – odburknęłam niegrzecznie. – Tacy jak on nie mają żadnych kłopotów. Nic się nie stało. Przyjedzie w sobotę.

Siostrzyczki popatrzyły na mnie znacząco, nic nie powiedziały. Darek przyjechał, mieliśmy iść do teatru, ale ja w tym zamieszaniu i czekaniu na znak od Stefana nie pomyślałam wcześniej o biletach. Zostawało więc kino i jakieś nudne rozmowy przy stole w otoczeniu sióstr. One odczekały aż mama wyjdzie z pokoju i gdy zostaliśmy sami, rzuciły się do Darka:

– Wiesz, wiesz? – przekrzykiwały się, jak to one. – Iga była u Iwony na prywatce w sobotę.

– Tak? – spojrzał na mnie.

Skinęłam potakująco głową, a one nadawały:

– Odprowadził ją chłopak, siedziała z nim bardzo długo, słuchali muzyki.

Darek popatrzył znów na mnie, jakby im nie wierzył.

– Tak – potwierdziłam.

– Ona się zakochała – powiedziała młodsza siostrzyczka, a starsza uszczypnęła ją w pupę. Za późno. Darek odwrócił w moją stronę sztywną głowę.

– Co one mówią? – zapytał. – Co one mówią?

– Powiedziały ci prawdę, chyba się... – nie dokończyłam...

Darek zrobił się bledszy od kredy, zbieleły mu nawet włosy, oczy, usta. Przeraziłam się.

– Co ty wyprawiasz?! – Chwyciłam go za rękę, wyrwał ją, odsunął się do ściany, nie mógł złapać tchu, zacisnął usta i stał tak oparty o ścianę, mocując się ze łzami i z tą trupią bladością, wreszcie w ciszy, bo siostry również zamilkły, w ciszy, która zawisała nad nami jak przekleństwo, powiedział:

– Niepotrzebnie przyjechałem. Mogłaś napisać.

– Mogłam, przepraszam, ale ja nie wiedziałam, że to tak, przepraszam, nie wiedziałam jak to zrobić...

– Pojadę do domu.

– Zostań! Mama upiekła ciasto, pójdziemy do kina.

– Nie! – Rzucił się do przedpokoju, złapał swoją kurtkę na misiu i wyszedł. Całe szczęście, że taty nie było. Nie odprowadziłam go na dworzec. Siostry uciekły do swojego pokoju, a ja pobiegłam do babci i opowiedziałam jej wszystko. Ona jedna mnie rozumiała.

– Nie przejmuj się, dziecko, tak lepiej, lepiej, że on pojechał, nie możesz żyć wbrew sobie, pamiętaj, nie możesz żyć wbrew sobie. Szkoda, to miły chłopiec, żeby sobie tylko czegoś nie zrobił. Jedź na dworzec!

– On nie chciał, babciu, wybiegł bez pożegnania. Nie pojadę na dworzec.

Darek odszedł i ja natychmiast zapomniałam o nim, a Stefana nie mogłam wymazać z pamięci, nie tylko nie mogłam, nie chciałam. Ciągłe był w moich oczach i w sercu. Mówiłam – zasną i on zniknie, ulotni się jak wszystkie inne obrazy, odejdzie w niepamięć, a on nie odchodził, jego ciepły głos dźwięczał mi w uszach. Mówiłam: zaraz ucichnie, nie, wracał z rogu pokoju... dochodził zza okna. Wreszcie udało mi się zasnąć, ale zaraz się przebudziłam, zdawało mi się, że on tu jest, patrzy, bierze mnie za rękę, ścisną ją delikatnie, przesuwa palce wzdłuż dłoni, przesuwa je dalej do moich palców, dotyka paznokci. Zasnęłam nad ranem. Myślałam, że będę śnić o nim, ale we śnie nie było go. W niedzielę – a była to już druga pusta niedziela – też się nie zjawił i przez cały tydzień nic o nim nie wiedziałam. Nie chciałam pytać Iwony, bałam się zdradzać z moim niepokojem, ale gdzieś w głębi duszy, intuicyjnie czułam, że on się zjawi, napisze list, przyśle telegram, przyjdzie do szkoły, albo gdy wyjdę na ulicę, to spotkam go gdzieś przypadkiem, bo on też wyjdzie, po to żeby mnie spotkać. Wychodziłam do parku, patrzyłam jak śnieg topnieje, zrobiła się odwilż, wszystko ściemniało, drzewa i ziemia. Z dachów spływała woda, potworzyły się groźne kałuże, błyszczały niczym oczy w rosole, zasy w naszym ogrodzie przypominały brudne, pożółkłe szmaty.

Straciłam apetyt, wydawało mi się, że nie oddycham, czekałam z zapartym tchem. Nagle wieczorem, gdy wkuwałam do głowy jakieś daty, które nie czepiały się mózgu, ujrzałam świecę; za moim oknem płonąła świeca i w jej chybottliwym blasku ujrzałam jakiś cień. Podeszłam bliżej, zgasiłam światło, płomień chwiał się na wietrze, wiedziałam, że osłania go ręka. Tak, to był on, uśmiechnięty, ze śniegiem we włosach, cały biały, bo właśnie po tej odwilży zaczęło padać. Zrobiło się białe, przytulnie, czysto. Otworzyłam okno, parapety u nas znajdowały się bardzo nisko i on wszedł do pokoju, położyłam palec na ustach, nakazałam mu być cicho, nie chciałam, żeby ktoś wiedział, że on wszedł, siostry siedziały u babci i pod jej nadzorem odrabiały lekcje. Od razu włączyłam muzykę i rozmawialiśmy szeptem.

– Czekalaś? – zapytał.

– Tak, każdego dnia.

– Przepraszam, przepraszam, wtedy nie mogłem odejść od ciebie, wracałem i stawałem koło twoich drzwi, patrzyłem, jak kładziesz się do snu i jak zasypiasz.

– Na noc zawsze spuszczałam zasłony, nic nie widziałeś.

– Nie spuściłaś zasłon i przez firankę w świetle widziałem, jak ścielisz sobie tapczan, jak się przeciągasz leniwie, podeszłaś do okna, jakbyś wiedziała, że ja tam stoję i patrzę, a potem zgasilaś światło. Chciałem, żebyś się obudziła, czekałem na twoje przebudzenie, ale ty spałaś tak smacznie...

– Dlaczego nie zapukałaś?

– Nie miałem odwagi. Całą noc stałem za oknem. Przeziębilem się.

– Całą noc – powtórzyłam jak echo. – Głupi. Naprawdę jesteś, jesteś... – pocałowałam go w czoło, wstydziłam się pocałować go w usta, złożyłam więc na jego czole siostrzany pocałunek, on chwycił moje ręce, położył je sobie na policzkach i patrzył mi w oczy.

– Niebieskie muszle, niebieskie – powtórzył. Wetknął mi do rąk wiersz i tą samą drogą, przez okno wyszedł, ale przedtem przyrzekł mi, że tym razem pójdzie prosto do domu, a jutro przyjdzie pod szkołę, spotkamy się w dzień, popatrzymy na siebie w dzień, a nie przy tym sztucznym świetle.

Rano zobaczyłam go przed domem, zlekłam się, że on umrze od tego sterczenia pod moim oknem, znowu się przeziębii, dostanie zapalenia płuc, umrze... O Boże! Nagadałam mu wiele głupstw. Chwyciłam torbę i wybiegłam bez śniadania do szkoły. Odprowadził mnie do przystanku i wsiadł ze mną do autobusu, a ja krzyczałam: nienawidzę cię, nie chcę cię znać, nie przychodź więcej, przeziębisz się, umrzesz i co ja zrobię, co ja zrobię?

Roześmiał się.

– Nie krzycz – powiedział – przyjechałem do ciebie dziś rano. Jestem zdrow, nic mi nie jest. Popatrz na mnie, czy tak wygląda chory człowiek? No, przyjrzyj mi się!

Wyglądał jak człowiek, którego dni są policzone, chudy i przezroczysty, jego podkrążone oczy płonęły niezdrowym blaskiem, we włosach miał pełno śniegu. Strząsnęłam mu go i okręciłam jego szyję swoim szalikiem, po lekcjach kupiłam mu czapkę, nosił ją przez całą zimę i już się nie przeziębiał.

Ranki były najlepsze. Budziłam się świeża, pełna jasnych myśli, a za oknem był on, pukał delikatnie w szybę i czekał aż się ubiorę, potem odprowadzał mnie do szkoły i stawał przed moją klasą na wprost okna. Dopiero gdy nauczyciel pojawiał się w drzwiach, odchodził, odprowadzany zazdrosnymi spojrzzeniami koleżanek.

– No, ty to masz szczęście – mówiły – taki chłopak. Dziewczyny za nim szaleją, a on, popatrz, zwariował, popatrz, co ty mu zrobiłaś, świata poza tobą nie widzi, co on takiego w tobie zobaczył, wcale nie jesteś ładna.

– Nie jestem ładna? – śmiałam się im w twarz. – Jestem piękna, dla niego jestem najpiękniejsza na świecie. – Spoglądały na mnie z ironią, wzruszały ramionami.

Lustro mówiło, że nic mi nie brakuje, oczy niebieskie, dołeczki w policzkach, lśniąca gładka cera. Mężczyźni oglądali się za mną na ulicy, natomiast dziewczyny nie przestawały mi wmawiać, że jestem szara, nijaka, pozbawiona seksu. Ludzie nie lubią cudzego szczęścia, złości ich, gdy ktoś wygrywa w totolotka, albo gdy komuś dobrze się wiedzie. Moje koleżanki nie różniły się pod tym względem od innych. W ich docinkach i kpinach wyczuwałam gorycz zawiedzionych nadziei, znały go wcześniej, dłużej niż ja, czytały jego wiersze, a teraz widząc go stale ze mną zapragnęły nagle zepsuć coś w naszych uczuciach, które były dopiero przedsmakiem tego, co miało nadejść – podniecającym oczekiwaniem i odkrywaniem siebie.

Jeśli o mnie chodzi, nie miałam w tych sprawach żadnych doświadczeń. Mówi się, że młodzież jest zdemoralizowana, cyniczna, może też tacy byliśmy, ale nie w stosunku do siebie, do innych chyba też nie.

Mało o nim wiedziałam, tak się jakoś składało, że nie mówiliśmy prawie o sobie, rozmawialiśmy o wierszach, o kształcie obłoków i o obrazach, znaleźliśmy się krótko, zaledwie kilka dni, a już inni wkroczyli brutalnie pomiędzy nas.

– Czy wiesz jaki jest Stefan? – zapytała któregoś dnia Iwona.

– Oczywiście – odparłam naiwnie.

– Tak? – uśmiechnęła się kąśliwie. – Wiesz, że on ma zawsze trzy dziewczyny? Z jedną sypia, z drugą chodzi, a z trzecią tańczy.

– No to ja jestem ta, z którą tańczy.

– A nie interesuje cię ta, z którą sypia?

– Ja wiem... – odparłam ponuro.

Umilkła, jakby jej usta zalano gipsem, nic już nie miała do powiedzenia, a mnie zakręciło się w głowie.

Zazdrość jest wymysłem szatana, jego głównym narzędziem, bronią, która go nigdy nie zawodzi. Iwona zepsuła mi cały smak porannych spotkań. Już nie czekałam na niego z takim drżeniem, za każdym razem chciałam coś wyjaśnić, pytać go, badać i bałam się słów. Nie mówiliśmy o tym, że ktoś ze sobą sypia, to było zbyt obcesowe, nieprzyzwoite wręcz, nie mogłam zapytać go wprost, kluczyłam więc niemrawo, pytając go o dziewczyny. On nic nie rozumiał.

– Jakie dziewczyny? – pytał otwierając szeroko oczy.

– No, czy masz kogoś?

– Ty pytasz? Ty nie wiesz? Jak ty możesz o to pytać? Zwariowałaś?... Oczywiście – uspokoił się – mam dziewczynę.

– Jaką? – zrobiłam zdziwioną minę. – Ty myślisz o mnie?

– A o kim? Czy ktoś poza tobą istnieje? Czy ktoś się poza tobą liczy? O co ty pytasz? Nie bardzo rozumiem – zdziwienie w oczach, w głosie, w całej postaci.

Przystanął, gestykulował, on naprawdę nie kłamał, mogłabym przysiąc, dać za to głowę, a jednak słowa Iwony dzwoniły mi w mózgu, nie wierzyłam mu, ta kropla jadu, pastylka ohydy wdarła się w nasz świat i została. Od tego dnia każde spotkanie z nim było nią zatrute, ciągle sprawdzałam, gdzie był, co robił, chciałam koniecznie wiedzieć, kim jest ta trzecia, z którą sypia, ja byłam tą, z którą chodził. Z półsłówek dziewczyn zorientowałam się, że to była Iwona. Ona

nic o tym nie mówiła, lecz jej stosunek do mnie nagle się zmienił. Była moją najbliższą przyjaciółką, siedziałyśmy razem, pomagałyśmy sobie w lekcjach, bywałam u niej na prywatkach, gadałyśmy o wszystkim... Tak się tylko mówi, ale to wszystko nigdy nie jest zupełnie, zawsze są te szuflady, których się nie otwiera, on był tą szufladą, której się nie otwiera. Zajrzałam do niej ukradkiem, niewiele zobaczyłam, więcej się domyśliłam, głównie dlatego, że Iwona zaczęła nagle źle o nim mówić. Do tej pory mówiła niewiele, a teraz wieszała na nim psy. „On ma fantazję, nie wierz ani jednemu jego słowu – uśmiechała się pobłaźliwie – co on robi? Zauważyłaś jak schudł? Poślij go do lekarza, może ma coś z płucami, pokasłuje i te jego rumieńce... Nie wydają ci się podejrzone?”

– Czy ja wiem? – patrzyłam na nią przerażona.

Stefan rzeczywiście był chudy, długi, z rozwichrzoną czupryną wyglądał oryginalnie, cerę miał świeżą, czerstwą, przebywał dużo na powietrzu. Po lekcjach zawsze czekał na mnie na ulicy, a była zima i śnieg. Prosiłam go, żeby dbał o siebie i on mnie słuchał, nosił czapkę i szalik, ciepłe buty i swetry, więc chyba Iwona nie miała racji. Ostatnio w ogóle gadała za dużo. Wychodząc ze szkoły starałam się ją zgubić, ale nieraz było to niemożliwe. Ona mając jakiś swój cel nie odstępowała mnie na krok. Przed wejściem czekał Stefan. Na mój widok rozpromieniał się, jaśniał, jakby gdzieś za nim zapalały się niewidoczne jupitery i on w ich rwącym blasku ściągał z głowy czapeczkę z pomponem w niebieskie wzory, którą dostał ode mnie, klękał na śniegu. Taki żar bił od niego, że przymykałam oczy.

– Wariat! – wykrzykiwała ze złością Iwona. – Skończony idiota! – a on jej w ogóle nie widział, podnosił się z klęczek i uczepiony mojego ramienia szeptał mi do ucha ostatni swój wiersz.

Widywaliśmy się prawie codziennie, ja nadal nic o nim nie wiedziałam prócz tego, że mieszka gdzieś na Poznańskiej, w wielkim starym domu i studiuje na uniwersytecie. Nie mówiliśmy o studiach ani o jego rodzinie, nie było potrzeby, ciągle mieliśmy sobie tyle do powiedzenia na temat wierszy, muzyki i książek, chodziliśmy też na wystawy. Raz poszliśmy do teatru na „Fizyków” Dürrenmatta i siedząc na widowni myśleliśmy tylko o sobie. To, co odbywało się na scenie, było takie długie, okropne, straszne, nie dotyczyło nas, nie miało nic wspólnego z naszym światem, my chcieliśmy widzieć tylko piękno, harmonię, ład, porządek i tak rzeczywiście było, to właśnie widzieliśmy. Warszawa była dla nas najpiękniejszym miastem na świecie, innego nie znaleźliśmy, to było naprawdę ładne miasto, takie w każdym razie zostało mi w pamięci.

Śniegu było coraz mniej, wiatr pachniał wiosną, a my przemierzaliśmy je pieszo, właściwie to chodziliśmy ciągle tą samą trasą: Piwna, Brzozowa, Góra Gnojna z widokiem na Wisłę... Po obejściu różnych zakątków na Starówce szliśmy na Sadybę, po dotarciu do domu nie mogliśmy się rozstać.

Dochodziliśmy do jednego drzewka, mówiliśmy: to już tu, potem było drugie drzewko i trzeba było się cofać do pierwszego, potem był płot, najpierw on mnie odprowadzał, potem ja jego, potem znowu on mnie i tak w kółko. W sobotę dzień się wydłużał, nie musiałam odrabiać lekcji, co prawda coraz rzadziej je odrabiałam, byłam na ogół spokojna, szczęśliwa. Wystarczyło jednak, bym spędziła z dala od niego kilka godzin, a moje podejrzenia przybierały monstrualne rozmiary, już byłam pewna, że mnie zdradza, już go widziałam w różnych nieprzyzwoitych sytuacjach z koleżankami z uniwersytetu, tylko dlatego, że wspomniał nieopatrznie, iż wpadł do akademika po książkę. Usłużna wyobraźnia podsuwała mi od razu odpowiednie sceny. Wiadomo jak zachowują się studentki, wciągają od razu chłopaków do łóżka i wyrafinowanymi pieszczotami przywiązują ich do siebie... Nie spałam po nocach, w dzień natomiast głowiłam się nad tym, jak go zapytać o dziewczyny z grupy, aby wyglądało to naturalnie. Chętnie o nich mówił, podając mało dla mnie ważne szczegóły, jak te np., że Hanka pisze opowiadania o zwierzętach i drukuje w „Płomyczku”, a mama Joli piecze wspaniałe ciasta, Kaśka zaś prowadzi studencki kabaret.

– A która się z tobą kocha?

– Wszystkie. Czy nie zasługuję? – roześmiał się i zaraz spoważniał. – Co mnie to obchodzi, czy kocha się we mnie Kaśka czy Jolka? Jakie to ma znaczenie?... Wiesz co? Chodźmy do kina – szybko zmienił temat i niczego się nie dowiedziałam.

– A może pojedziemy do akademika?

– Po co? – oburzył się. – Tam jest okropnie, wspólne łazienki, pokoje z piętrowymi łózkami.

Mówił prawdę, nie cierpiał dużych grup, uciekał od ludzi, od moich koleżanek również. One wprowadzały dysonans, śmiały się w nieodpowiednich miejscach, mówiły nie to, co należało, nie pasowały do nas. My mieliśmy w sobie za dużo liryzmu, poezji, romantyzmu, muzyki, podczas gdy one kurczowo trzymały się ziemi, która dla nas ważna była o tyle, że chodziło się po niej, stanowiła jakiś punkt oparcia, ale to, co było obok, w sklepach, na ulicy poza tomikami wierszy i nowymi płytami, nie interesowało nas wcale. Tak nie można żyć, wiem, ale tak właśnie żyliśmy. Odurzeni sobą chodziliśmy po Warszawie, nieraz jeździliśmy tylko po to do Śródmieścia, żeby z niego uciekać na Sadybę, nad Jeziorko Czerniakowskie, siadaliśmy na oblodzonej ławce i karmiliśmy ptaki. Przylatywały tam kaczki, kruki, wrony, gołębi nie było, tylko dzikie ptactwo. Przynosiliśmy bułki, kruszyliśmy je, a one ucztowały na naszych oczach, ślizgając się po lodzie.

Tak się złożyło, że nie widziałam się z nim trzy dni, przygotowywał wówczas referat czy gdzieś wyjechał, nie pamiętam. Uprzedził mnie, że nie przyjdzie ani do szkoły, ani do domu. Trudno sobie wyobrazić, co się wtedy działo. Nie spałam, nie jadłam, nie oddychałam chyba, mama była przerażona, ojciec kazał mi iść do lekarza i wziąć coś na apetyt, babcia pokiwała tylko głową, a w korytarzu spytała szeptem:

– Stefan wyjechał?

- Nie.
- Więc co jest, uczy się?
- Nie, wyjechał.

Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, ni to współczująco, ni to sceptycznie, dolewając niejako oliwy do ognia. Wtedy postanowiłam: jeżeli on tego dnia wieczorem nie pojawi się pod moim oknem, nie zapuka cichutko w szybę, nie zapali Sebastiana, czyli tej czerwonej świecy, którą tak nazwaliśmy, ponieważ przy niej słuchaliśmy Bacha, jeżeli nie zapali tej świecy, to skończę z nim na zawsze, nie spojrzę na niego, nie odezwę się... Idiotyczne myśli chodziły mi po głowie. Nie mogłam usiedzieć w miejscu, czekałam, niebo było ciemne, bez śladu gwiazd czy księżyca, w dole czarna wilgotna ziemia i świerk sterczący jak groźny sztylet. Nagle w tej czerni rozbłysł płomień, zerwałam się z łóżka, otworzyłam okno i powiedziałam: – Wejdz, tak czekałam, tęskniłam.

– Mam wejść? – przeraził się. – Przebudzimy dziewczynki.

– Śpią twardo.

– Nie, nie – wzbraniał się. – Przywarłam do niego w oknie, całowaliśmy się nieprzytomnie, byłam w koszuli, bosy, on zimny, mokry.

– Wejdz do środka, zostań ze mną – prosiłam, slaniając się z podniecenia.

– Jak to? Nie – szeptał coraz bardziej przerażony. Pocałunki były jak rozżarzone węgle, parzyły dotkliwie, obezwładniały.

Nigdy nikogo nie całowałam tak zajadle, tak agresywnie, z takim oddaniem, z całkowitym przyzwoleniem na wszystko. Nagle on mnie odsunął.

– Nie, tak nie można – powiedział raczej do siebie niż do mnie, siebie przed czymś wstrzymywał, pechnął okno w moją stronę, skrzypnęło z takim wizgiem, jakby chciało rozsadzić dom pograżony we śnie, zsunął się na mokrą murawę i pobiegł do zwirowanej uliczki, przeskoczył niezbyt wysoki płot i pomknął do przystanku. Stałam rozpalona, przygwożdżona do miejsca, czułam się odtrącona, niechciana. Gorące łzy ciekły mi po twarzy, jego nie było, szukałam więc pocieszenia w łkaniu, teraz już zupełnie nie mogłam spać. Siostry za parawanem oddychały miarowo, a ja zapalałam światło i gasiłam je, podchodziłam do okna, łudzac się, że on wróci, ale nikogo nie było. Ciszę mącił łagodny szelest wiatru, w górze było bezduszne niebo porysowane czarnymi drzewami i rozżarzona łuna miasta. Świt był wilgotny, mglisty, nieprzytulny, zamknęłam okno, zasnęłam na krótko. Obudziły mnie hałasy, siostry ubierały się do szkoły.

– Iga! Iga! Spóźnisz się! Twój ukochany nie przyszedł. Nikogo nie ma.

– Jestem chyba chora.

Mama zajrzała do pokoju.

– Co ci jest? Boże! Masz gorączkę! Trzeba wezwać lekarza. Nie wstawaj! Gdzie termometr? Nigdy nic nie leży na miejscu.

– Znajdę sama, wezmę aspirynę. U nas dziś konferencja. Nie muszę nigdzie iść. Jak będziesz wracała z pracy, kup mi witaminy. Jestem osłabiona.

Mama nie wiedziała w co ręce włożyć, dziewczynki pobily się w łazience, tatuś je stamtąd przepędził, babcia przewróciła się w przedpokoju, w kuchni wykypiało mleko.

Wstałam, nie mogłam znieść tej wrzawy, nakryłam do stołu, nalałam dziewczynkom mleka, zrobiłam im kanapki. – Starość nie radość – usprawiedliwiała się babcia, popijając swoją ulubioną kawę z mlekiem.

– Potłukłaś się? – spytałam.

– Co się miało potłuc – uśmiechnęła się smutno – stare kości i tyle. – Dopila swoją kawę i odstawiła szklanke.

– Musisz iść do tego biura? – spytałam. Nie chciało mi się samej zostawać w domu.

– Muszę i chcę – uśmiechnęła się, już zapomniiała o swoich kościach. Narzuciła pospiesznie na siebie płaszcz i żwawym, młodzieńczym krokiem popłynęła do furtki, która zatrzasnęła się za nią z piskliwym chlupnięciem.

Siostry też wyszły i znowu otoczyła mnie cisza. Bałam się, byłam chora, ubzdurałam sobie, że tym razem tracę go już na zawsze, ale nie pojmowałam dlaczego. Nigdy do niego nie dzwoniłam, nie było potrzeby, teraz coś mnie z domu wypchało, ubrałam się i wyszłam do budki. Kiedy wykręciłam jego numer, usłyszałam szorstki głos, tak niepodobny do tego, który znałam. Zawahałam się.

– To ja, Iga...

– Ty? Skąd dzwonicz?

– Z budki.

– Ty?

– Przyjedź, mam wolne, konferencja, rozumiesz, jestem sama...

– Tak?

– Tak, tak – powtórzyłam. Wróciłam do domu i czekałam nie wiedząc, czy on przyjdzie czy nie.

Zjawił się szybciej niż to było możliwe. Wszedł jak wczoraj przez okno, które zostawiłam nie domknięte, ukląkł i patrzył na mnie wilgotnymi oczami, wystraszony jakiś, biedny, wycierał czoło wierzchem dłoni i szeptał drżącym głosem:

– Kocham cię tak bardzo, że boję się tego, co chcemy zrobić. Boję się, tak cię kocham, chyba jednak nie powinniśmy...

– Przytul mnie, ja się nie boję, właśnie dlatego, że cię kocham, nie chcę, żebyś to robił z innymi, chcę, żebyś był stale przy mnie, żebyś mnie całował, żebyś mnie dotykał, pieścił, proszę cię, zrób to...

– Nie wiem, nie powinienem...

– Nic nie mów, chodź tutaj! – tuliłam się do niego, płakałam, on zaczął scałowywać lzy z mojej twarzy, wycierał je, byłam całkowicie bezwolna, zamknęłam oczy, czułam jego bliskość, prawdziwą bliskość jego ciała, oplotły mnie jego uda, ramiona, był silny, sprężysty i delikatny...

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że doznałam rozkoszy i że było to najwspanialsze przeżycie... Nic z tych rzeczy... Był ból, lekki – to prawda – i przerażenie, że to już po, już po... Zobaczyłam krew i pomyślałam, że umrę, krew zawsze w moich odczuciach kojarzy się ze śmiercią, nic na to nie poradzę. Jego też przeraziła krew, przeproszał mnie, ubolewał nad tym, co zrobił, zaniósł mnie do łazienki. Umyłam się, krwi było niewiele, a we mnie pustka... czułam się zraniona, zbrukana, bez duszy, chciałam umrzeć. No cóż, samo pragnienie nie wywołuje na szczęście żadnych następstw. Milczałam, on też nic nie mówił, wiedział chyba, co się ze mną dzieje, leżał obok i trzymał mnie za rękę, nic więcej...

Potem już było tak jak myślałam, jak to sobie wyobrażałam. Zapytałam go, czy tak samo było z innymi, czy on nadal potrzebuje tych trzech dziewczyn? Czy teraz już będzie ze mną sypiał? A z kim będzie chodził, z kim będzie tańczył?

Zaśmiał się jasno, soczyście i powiedział: „Teraz i zawsze, zawsze już będziesz tylko ty... Od tamtego wieczoru, pamiętasz, kiedy wyszliśmy od Iwony, byłaś tylko ty, nikogo więcej, o nikim nawet nie pomyślałam, żadnej dziewczyny nie chciałem pocałować, z żadną nie chciałem być blisko. Jesteś tylko ty, tylko ty istniejesz i tylko ciebie, ciebie kocham, dla ciebie chcę żyć. Teraz już zawsze będę się budził obok ciebie, będę patrzył w niebieskie muszle, będę cesał twoje włosy”... Wtedy na poczekaniu ułożył wiersz, taki prosty, niewymyślny, wiersz, który był najczystsza miłością.

Nie wiedzieliśmy, że wokół nas zbierają się chmury. Tyle rzeczy się działo, o których nie myśleliśmy. Byli przecież jego rodzice i moi, lecz nikt się nie liczył, nikt nie istniał, byliśmy tylko my, tak nam się zdawało, tymczasem świat dokądś pędził, niszczył ludzi i nam zagrażał, nie wiedzieliśmy jeszcze o tym.

Któregoś wieczoru mój ojciec poprosił go do siebie na rozmowę. Poszłam za nim na górę. Ojciec kazał mi zejść na dół. Powiedziałam, że ja chcę być przy tym.

– Idź stąd! – podniósł głos i zamknął przede mną drzwi.

Obrażona zeszałam na dół. Stefan wrócił po kilku minutach.

– Co on, co on ci powiedział? – rzuciłam się do niego.

– Nic, nic, prosił, żebyśmy zmyślili. Mówił, że najważniejsza jest nauka, o której my nie myślimy wcale, więc może powinniśmy pomyśleć. To była tylko prośba, niczego nam nie zabraniał. Zapytałam: „Czy pan zabrania mi tu przychodzić? Czy pan zabrania mi spotykać się z Igą?” Powiedział, że nie, ale skąd ci to przyszło do głowy? Prosił jednak, żebyśmy spotykali się rzadziej, to się odbija na szkole. Iga ma dwóje. Masz dwóje?

– Mam. Obchodzi cię szkoła?

– No właśnie, właśnie, co zrobimy?

– Nic, obchodzi cię szkoła?

– Tak, twoja szkoła mnie obchodzi.

– A mnie wcale, wcale, ja chcę być z tobą, chcę... to mnie tylko obchodzi.

– Jak to zrobić?

– Nie wiem, chcę być z tobą.

– Ale masz dwóje i mnie to gnębi. Musimy coś z tym zrobić, może będziemy po prostu widywać się rzadziej?

To była czysta teoria. Jak tu widywać się rzadziej, kiedy każdy dzień bez niego tak niepomierne się dłużył, był pusty, szary, umykał z życia, nie przynosił niczego, zamieniał się w noc. Musieliśmy jednak liczyć się ze zdaniem rodziców, stwarzać pozory, więc zamiast u mnie zaczęliśmy się spotykać u niego.

Rodzice Stefana byli przyzwyczajeni, że odwiedzają go dziewczyny, przychodzą, odchodzą, zostawiając swój śmiech. Nie przywiązywali do tego żadnej wagi, odnosili się do mnie grzecznie, uprzejmie, nie okazując specjalnego zainteresowania. Dzień dobry, dzień dobry. Stefan mnie przedstawił, miło, miło. Kolacje czasem jedliśmy u niego w pokoju. Ojca przeważnie nie było, pracował w filharmonii, matka uczyła się języków, miała poza tym mnóstwo znajomych, wieczorami nikt tam nie siedział w domu. Wychodziło na to, że to my właśnie jesteśmy domatorami i siedzimy w domu. Stefan już nie miał żadnych oporów, kochaliśmy się, wykorzystując na to każdą dogodną chwilę. Jeżeli wiedzieliśmy, że jego rodzice wrócą późno, ojciec po dziesiątej wieczór, matka około ósmej, to ponad dwie godziny byliśmy sami w jego dużym, wysokim pokoju, z szerokim tapczanem. Moim rodzicom mówiłam, że uczę się u koleżanki. Nie wiem, czy wierzyli, ale nie sprawdzali, nie kontrolowali mnie. Nie mieli jak.

Była wiosna i my jak czarowani brodziliśmy wśród drzew na Sadybie, tam nad naszym jeziorkiem był jeszcze drewniany most, dużo krzewów, cisza charakterystyczna dla wody, szum drzew, pierwsze listki, zapach ziemi, ptaki, żaby i cały ten koncert, przyroda jak chór grecki. Spędzaliśmy tam długie godziny, czasem nawet usiłowałam się uczyć, przeważnie nic z tego nie wychodziło. Kiedy on był przy mnie, nie mogłam się skupić, kiedy go nie było – tym bardziej. Prosiłam, żeby mnie przepytał z polskiego. Byłam pewna, że z literaturą sobie poradzę, czytałam więcej niż trzeba, mogłam pisać wypracowania na każdy temat, natomiast z gramatyką byłam na bakier. Ci wszyscy mądrale, co piszą

podręczniki, nie potrafią nazwać rzeczy prostych zwyczajnie, komplikują je pseudonaukowymi określeniami i pokracznymi definicjami, których nie rozumiałam, o wykuciu ich na pamięć nie mogło być mowy, kończyło się na postawieniu pytania. Wiedziałam, że obleję z gramatyki, ale się nie przejmowałam. Stefan też nic nie robił, nosił ze sobą grube książki i do nich nie zaglądał. Mówił, że nie jest w stanie o niczym myśleć. Byliśmy nienormalni, chorzy...

W filharmonii, słuchając muzyki, myślimy tylko o sobie, siedzimy w pierwszym rzędzie, patrząc jak palce pianisty tańczą po klawiaturze, gonią się, przewracają, by oszołomić nas kaskadą dźwięków.

Stefan porusza ustami wyśpiewując melodię, jakby chciał pomóc pianiście. Dyrygent wbity w przyciasny frak wyraźnie się poci, tłum wstaje, nagradza go oklaskami. Nasze ręce nie chcą się rozplatać, trzymając się za nie pierwsi wybiegamy z sali, szukamy jakiegoś miejsca, żeby się skryć. Tłum jest potężny jak żywioł, brawa nie milkną, chociaż jest przerwa. Dopiero po chwili ludzie wysypują się do holu. A my w tym czasie zaglądamy za ciężką kotarę odgradzającą część korytarza, nikogo tu nie ma, są jakieś krzesła i szafa, wtulamy się za nią i całujemy. Nie możemy wytrzymać, kochamy się w pośpiechu, podnieceni tym i rozpaleni do granic wytrzymałości. W każdej chwili może ktoś nadejść, skrzyknąć nas, wypędzić, napiętnować publicznie, to nas jeszcze bardziej podnieca. Garniemy się do siebie z rozpaczą, omotani straszliwym pożądaniem, jesteśmy w jego mocy i nic nas nie obchodzi, że za kotarą, tuż obok rozlegają się głosy, pokasywania i kroki są coraz bliższe, zaraz tu wejdą, odkryją nas. To będzie dopiero wstyd. Rozgorączkowani, wczepieni w siebie nic już nie słyszemy, niech się dzieje co chce, za chwilę umrę. Za każdym razem jest to bliskie śmierci. Śmierć też będzie wyzwoleniem, rozkoszą, tym strasznym spadaniem i wzlatywaniem do nieba w takt najpiękniejszej z melodii... Kroki są coraz słabsze, oddalają się, cichną, można wyjść.

Wracamy na miejsca, Stefan z jasnością w oczach, ja wtulona w jego ramię, spoglądamy na podium, gdzie słynny pianista zajmuje miejsce. Uśmiechamy się do siebie łagodnie, ze zrozumieniem. Ja jednak się wstydzę, jeszcze się go boję, jeszcze nie jestem z nim oswojona, trwa to tak długo, a ja jeszcze jestem oddzielona od niego niewidoczną linią. Niejasno zaczynam sobie uświadamiać, co się na nią składa, ale jeszcze nie wiem, nie umiem sprecyzować, określić tej bariery. Na razie jest Chopin, słuchamy popatrując na siebie spod przymkniętych powiek. Ja kiwam nieznacznie głową, Stefan porusza ustami, tutaj porozumiewamy się bez słów, pianista wziął ten pasaż tak jak lubimy, tu zrobił przerwę, właśnie w tym miejscu, a teraz mocniej, mocniej, właśnie tak, ocean dźwięków, łoskot fal, tak, tak, chcę pędzić gdzieś lecieć...

Nie można opisać muzyki, ja nie potrafię, wiem jedno, że odkąd chodzę z nim na koncerty, stałam się lepsza, wrażliwsza i o wiele bogatsza, a ten koncert, salę warszawskiej filharmonii, wyraz twarzy pianisty, jego niezwykle skupienie aż do symbiozy z instrumentem i każdy ruch ręki, nasze wzruszenie nie zmącone jednym ziarnkiem piasku, ciągle jeszcze pamiętam, będę o nim myśleć przed śmiercią.

To musiało nastąpić, przeczuwałam, że tak się stanie, ale nie myślałam, że to już, już. Serce we mnie zamarło, gdy przed naszym domem ujrzałam jego mamę. Przyjechała taksówką. Z parasolką i w przekrzywionym kapeluszu, w modnych pantoflach na cienkich szpilkach zmierzała do furtki z taką pewnością siebie, jakby już tu była kilka razy, nie miała najmniejszych wątpliwości, że tu mieszkamy. Zobaczyłam ją przez okno i wybiegłam przed dom. To był niewybaczalny błąd, należało raczej uciec przez okno, schować się w piwnicy i nie pokazywać na oczy. Otworzyłam drzwi. Jej ściągnięte brwi, zdawkowe „dzień dobry” nie wróżyły nic dobrego, spod modnego kapelusza i długich umalowanych rzęs powitało mnie chłodne spojrzenie.

– Ojciec w domu?

– Tak. Proszę tędy – usunęłam się z drogi i wskazałam jej nasz pokój-kuchnię.

Ojciec czytał gazetę siedząc przy stole.

– Dzwoniłam do pana do pracy – rzuciła od progu – jestem matką Stefana.

– Tak, wiem, bardzo mi przyjemnie – ojciec próbował rozbroić ją swoim uśmiechem, lecz ona zmroziła go chłodem.

– Idź na górę po mamę – zwrócił się do mnie.

Pocałował ją w rękę i podsunął jej wytarty fotel. Mama zostawiła prasowanie bielizny, której z oszczędności nie oddawaliśmy do magła, i przyczesała włosy.

– Jak ja wyglądam? – spytała.

– Dobrze, mamu – potwierdziłam. – Co było zgodne z prawdą.

Wtedy jeszcze się nie roztyła, miała piękne długie nogi, które nawet w domowych kapciach wyglądały ponętnie. Niestety, była ubrana w przyciasną spódnicę i bladoniebieski golf, który wyciągał na jej twarz straszliwe zmęczenie.

– Musimy porozmawiać – zaczęła matka Stefana – ale może bez niej. – Wskazała na mnie.

– Dlaczego? – oburzyłam się – przecież będziecie mówić o mnie i o Stefanie. Taki jest chyba cel pani wizyty? Byłoby lepiej, gdybyśmy rozmawiali razem. Zadzwoń po Stefana.

– Najpierw porozmawiamy osobno – zdecydowała, nie pozwalając wtrącić słowa moim rodzicom. – A ty możesz po niego zadzwonić... Tak, idź, dzwoń.

– Proszę pani, to raczej my powinniśmy – mama gubiła się w słowach – nasza córka jest jeszcze taka młoda.

– Proszę państwa, ja nie mam pretensji do córki ani tym bardziej do państwa. Proszę wybaczyć, jeżeli zachowałam się niestosownie, chodzi o to, że oni źle na siebie wpływają i chyba nie zdają sobie z tego sprawy – ciągnęła łagodnie, z uśmiechem. Ja stałam przy drzwiach i nikt mnie już nie wypraszał.

Matka Stefana miała świetne maniery, siedziała wyprostowana, z królewskim spojrzeniem, dostojna, opanowana i zimna jak góra lodowa. – Tak, źle na siebie działają – powtórzyła.

Moja mama skinęła głową.

– Mój syn oblał jeden egzamin, dwa przeniósł na sesję jesienną, jeżeli nie zda ich we wrześniu, wyrzucą go z uniwerku, państwo wiedzą, jakie są konsekwencje, jest na pierwszym roku... A jak córka się uczy?

– No, uczyła się do tej pory nie najgorzej – odpowiedziała niepewnie mama i zerknęła z niepokojem w moją stronę.

– No, no, nie najgorzej, a kiedy ostatnio byli państwo w szkole?

Mama z pytaniem w oczach spojrzała na matkę Stefana.

– W szkole? Po co do szkoły? Kto by chodził? Przecież to dorosła dziewczyna? Uczy się dla siebie, nie dla nas.

Mama Stefana słuchając tych wywodów kiwała głową.

– Tak, oczywiście, ja bym jednak radziła państwu sprawdzić, co się tam dzieje. Przecież ona w tym roku zdaje maturę.

– Och! Na pewno zda – odpowiedziała z przekonaniem mama.

Ojciec milczał. Zawsze gdy chodziło o mnie i o siostry bliźniaczki, wolał się nie wypowiadać, gdyby miał syna, to co innego, sprawy córek były mu nie tyle obojętne, ile obce, nie rozumiał nas, dlatego wolał nie zabierać głosu.

Poszłam do budki i zadzwoniłam do Stefana. Przyjechał taksówką, tak jak mu kazałam. Już nie przysłuchiwałam się rozmowie. Czekałam na niego przed domem.

– Jest tu twoja matka – powiedziałam. Zdaje się, że się trochę przestraszył.

– I co?

– Nic. Rozmawiają.

– O nas?

– Jasne.

– Powiedziała ci coś przykrego?

– Nie, skąd? Jest przecież dobrze wychowana. W ogóle nic takiego nie mówiła, stwierdziła tylko, że źle na siebie wpływamy.

– My – wybuchnął srebrzystym śmiechem i przestał się bać spotkania z matką. – My źle wpływamy na siebie? A to dobre, to dobre – śmiał się, a w jego oczach płonęło ogromne światło południowego nieba. – No, a do czego ja jestem potrzebny?

– Zdaje się, że będą chcieli coś nam powiedzieć.

– Och! Nietrudno się domyślić co. Chodźmy! – wziął mnie za rękę i w tym momencie ja też przestałam się bać nie tylko jego matki, ale i swojej. Nic nam nie mogły zrobić, nie mogły nas rozłączyć, rozdzielić, nikt nie był w stanie tego uczynić.

Zapukałam do pokoju i powiedziałam:

– Jest Stefan.

– No to wejdźcie, siadajcie – powiedziała jego mama. – Mamy wam coś ważnego do powiedzenia. Sytuacja jest taka, że powinniście na jakiś czas przerwać wasze spotkania. Oboje musicie ostro zabrać się do nauki, nadrobić zaległości, a potem zobaczymy! To będzie sprawdzian! Jeżeli wasze uczucia są dostatecznie mocne, prawdziwe i takie wielkie, i tak gorące jak w tej chwili – powiedziała to bez ironii, bez żadnego mrugnięcia – jeżeli to prawdziwa miłość, to nie będziemy się sprzeciwiać. Ale tak jak jest, dalej nie może być... To są nasze warunki, jeżeli ty zdasz maturę, a Stefan wszystkie egzaminy w sesji jesiennej, bo teraz już za późno, będziecie mogli się spotykać. Oczywiście Stefan idzie na trzy miesiące do wojska, lipiec sierpień, wrzesień. Całe wakacje go nie będzie, nie wiem, co tobie rodzice zorganizują, chodzi o to, żebyście teraz, póki jeszcze jest czas, zabrali się do nauki.

Spojrzelśmy po sobie.

– Nie możemy się nie widywać – powiedział Stefan – nie możecie nam tego zabronić. Nie można nam zabronić oddychać, nie można nam zabronić jeść, pić, to jest to samo. Jak my możemy się nie widywać, kiedy jesteśmy dla siebie stworzeni, nie możemy bez siebie żyć.

– Ty też tak uważasz? – zwróciła się do mnie mama Stefana.

– Tak... Jeżeli go nie widzę dwa dni, jestem chora, dostaję gorączki, boli mnie głowa.

Popatrzyła na mnie z przerażeniem.

– Co ty mówisz, dziecko? Jakiej gorączki?

– Tak było, nie widziałam go kiedyś przez trzy dni i dostałam gorączki, nie spałam, po prostu nie mogłam spać, dusiłam się...

– Oni powariowali! Co za histerie, dusi się, gorączkuje – przekrzykiwały się obie mamy. – To przecież istne wariactwo, no proszę, do czego już doszło. Z normalnych dzieci zrobiło się dwoje histeryków. A nie możecie tak zrobić, żeby się widywać i uczyć, co?

Znowu spojrzeliśmy na siebie, było to niewykonalne prawie, ale powiedzieliśmy: tak, możemy, postaramy się w każdym razie, na pewno, ale nie wiedzieliśmy, jak to zrobić, skąd wziąć siły, jak oczyścić pamięć, przefiltrować uwagę i w jaki sposób uwolnić się od siebie na tyle godzin; to było trudniejsze niż zmiana biegu rzeki.

Niebo za oknem przypominało wielki, świetlisty namiot, zewsząd bombardowały nas zapachy, bujna zieleń po szarej zimie oszołomiła nas, jak można było od tego uciec, dać się wsadzić do klatki? To tyle co nie żyć. Oczywiście, siedzieliśmy w tych klatkach, ja i on.

Nasza zdecydowana postawa i zwojne obietnice złamały ich opór, pozwolono nam się widywać, najwyżej raz dziennie, uściśliła mama Stefana. To było śmieszne. Nigdy niczego nie umieliśmy mierzyć. Naszych reakcji sami nie byliśmy w stanie przewidzieć, czasem Stefan wracając z uniwersytetu po prostu musiał pojawić się w moim oknie.

Nigdy nie wiedzieliśmy, ile razy dziennie i gdzie się spotkamy, jeżeli jemu udało się wcześniej wyskoczyć z domu i zbudzić mnie rano, był szczęśliwy, jeżeli zasnął i nie zastukał w moje okno, to czekał z niecierpliwością na koniec lekcji przed szkołą, nie zważając na deszcze i wiatr. Woźne nie wpuszczały go do środka, mówiły, że pełno złodziei kręci się przy szatniach, więc on stał przed drzwiami i czekał na mnie.

Naszym spotkaniom towarzyszył nieodmiennie lęk, wypelzał spod tapczanu, czał się po kątach, był w szybkich krokach na schodach i w bolesnym obrocie klucza. Działał paraliżująco, wymuszał ostrożność, zaostbrał czujność. Byliśmy jak psy gończe, wyczuleni na szelest traw, na mowę liści i oddechy za ścianą.

Dzieliłam pokój z siostrami, które cierpiały na alergię. To było zrzędzenie losu, gdyż właśnie na wiosnę, kiedy choroba najbardziej im dokuczwała, musiały wyjechać do Rabki. Byłam w siódmym niebie. Mój pokój, który dotąd z nimi dzieliłam, wychodzi na drogę, nazywaliśmy ją szumnie ulicą, biegła półkolem i jak urwana podkowa ginęła w polu, wśród bylin i jałowców. Matka miała zwyczaj zaglądać do mnie wieczorem.

– Jak się czujesz? – pytała zdawkowo i nie oczekiwała odpowiedzi.

Mówiłam, że dobrze, a ona machała ręką w drzwiach i szła do siebie. Była zmęczona i nie miała ochoty na czułości, ale w tych dniach, jakby coś podejrzewając, zaglądała do mnie częściej niż zwykle, siadała na brzegu tapczana i milczała, rzadko o coś pytała, nie było między nami bliskości, dzieliła nas jakaś bariera. Nie wiem, czy mój wiek to sprawiał, czy jej, że nie mówiłyśmy nigdy o naszych uczuciach; czasem o szkole, a przeważnie o tym, co trzeba zrobić w kuchni. Teraz zapytała, co czytam, i widząc Norwida skrzywiła się: – Znowu wiersze? Nie siedź za długo! Mizernie wyglądasz.

– Tak, tak, już gaszę. – Zanim wyszła, wyłączyłam lampkę i wtulona do poduszki liczyłam jej kroki. Raz, dwa, trzy..., zajrzała do kuchni, sprawdziła, czy gaz się nie pali, po chwili usłyszałam skrzywienie schodów. Nosila miękkie kapcie i jej stapania tłumilo sukno, ale schody pojękiwały niezadowolone, że ktoś burzy im spokój, jeszcze drzwi pisnęły na górze i światło zgasło. Wtedy rozległo się delikatne pukanie w szybę, zerwałam się i siłą woli powstrzymując skrzywienie ram uchyliłam okno. Stefan zeskoczył z parapetu już bez butów, żeby nie robić hałasu, rozebrał się w ciemności, ubranie i buty schował przezornie za tapczan i trzęsąc się z zimna wsunął pod kołdrę. Ogrzewałam go własnym ciałem. Zdawało się nam, że jesteśmy sami, nie było moich rodziców, babci za ścianą. Nie widzieliśmy się tylko jeden dzień, a wydawało się nam, że to lata całe, tak gorąco chcieliśmy być razem, tak pragnęliśmy siebie...

Wtedy usłyszałam skrzywienie drzwi i szelest kroków na schodach. Zamarłam, Stefan nakrył się z głową, kroki były coraz bliższe, zatrzymały się, ich szelest wtopił się w drzwi, klamka pisnęła skrzekliwie i opadła w dół, jej pisk powstrzymał mamę od dalszych działań, nie chciała mnie budzić, miękkie tąpnięcia oddaliły się, westchnęły drewniane schody i drzwi na górze warknęły nieprzyjemnie. Nasze serca tykały w przyspieszonym rytmie niczym liczniki bomb zegarowych, leżeliśmy wtuleni w siebie, sparaliżowani.

– Co by było, gdyby mnie tu zastała? – zapytał Stefan.

– Umarłabym ze wstydu. Gdy pomyślę, że ona mogła wejść i zobaczyć ciebie, robi mi się zimno, jestem chora.

Zasnęliśmy wklejeni w siebie i zespoleni mocno jak nigdy. Przed świtem, kiedy Stefan poruszył zdrętwiałą ręką, zerwałam się przestraszona. Śniły mi się te kroki, słyszałam je wszędzie, na ulicy, w pokoju, rozdeptywały mi mózg, na szczęście nic się nie działo, dom oddychał jednostajną ciszą, przerywaną rytmicznym pochrapywaniem babci. Koncertowała wyjątkowo głośno, to mnie uspokoiło, wszyscy spali, chrapanie babci było tego najlepszym dowodem. Wtedy obudziło się w nas zgaszone strachem pożądanie, odnaleźliśmy się w mroku, w głębokiej ciszy, starając się nie wydać żadnego dźwięku, ale ten tapczan był strasznie stary, skrzypiał, zapadał się, jęczał przy każdym ruchu, przenieśliśmy się na podłogę, ale i tu deski trzeszczały pod naszymi ciałami, nie można się było przesunąć, ten dom gadał wzmocnionymi głosami. Zbudowany był z drzewa. To dlatego.

O świcie budzą się ptaki, lecz nie śpiewają, skrzeczą, rozdrażnione wilgotnym zimnem. Zgłodniałe przylatują pod okno szukać pożywienia, skaczą po czarnych gałęziach, całe chmary gołębi, gawrony, kruki i najodważniejsze z nich wróble, te już są na parapecie. Wieczorem pokruszyłam im bułkę, rzucają się na nią żarłocznie, chwytają w dziobki okruchy i ulatują z nimi w bezpieczne miejsca.

– Musisz iść, oni się zaraz obudzą. Boże! Co by to było. – Ciągłe ten strach, co to będzie jeżeli... Wymyślimy coś innego, nie można żyć w ciągłym lęku... to psuje radość bycia z tobą.

– Znajdziemy wyjście, znajdziemy, nie martw się – patrzył z tym jaśniejącym zachwytem, który rozbudzał we mnie wszystko co najlepsze.

– Więc idź, idź. – Jeszcze muszę objąć go, przytulić, poczuć jego oddech, szczupłość ramion, ich sprężystość i siłę. Mama ciągle niespokojna o mnie zajrzała do pokoju.

– Śpisz? Spóźnisz się do szkoły!

– Tak mi się nie chce wstawać.

– Nie spałaś? Co robiłaś w nocy? – Ostra nagana w głosie, stłumiony krzyk, wyrzut, o co?

– Nie mogłam spać.

– Dlaczego? Piłaś mocną herbatę?

– Źle sypiam, po prostu źle sypiam.

– To wszystko przez niego, zawrócił ci w głowie, zamiast się uczyć myślisz o nim. Czy ja tego nie widzę? – obrzuciła mnie złym spojrzeniem. – Wstawaj! Wstawaj! Nie ma co się pieścić – popędzała. Oczywiście poszłam do szkoły, przed wejściem już czekał on.

– Niewiele brakowało – powiedział – a nie zobaczyłabyś mnie dziś.

– Co się stało?

– Nic nie widziałaś? Gdy wyszedłem od ciebie przez okno i biegłem do przystanku, jakiś człowiek rzucił się za mną z krzykiem: Złodziej! Złodziej! Łapać złodzieja! Dogonił mnie, złapał za kołnierz. Co ukradłeś draniu? – zamierzył się, żeby mnie uderzyć. Pojęcia nie mam, co go powstrzymało. – Widziałem jak uciekałeś przez okno!

– Nie domyśla się pan?

– Co się mam domyślać, łobuzie. Wywróc kieszenie! Wywróciłem. Było w nich kilka monet.

– Pójdziemy na komisariat – zdecydował. – Proszę pana, nie jestem złodziejem. Byłem u swojej dziewczyny, proszę, tu jest mój dowód. Niech pan czyta, imiona rodziców, adres... Mieszkam w Warszawie, na Poznańskiej.

– Pewnie, że mieszkasz, każdy mieszka, to o niczym nie świadczy – orzekł zwracając mi dowód. – Ale dlaczego uciekałeś przez okno? Nie mogłeś jak człowiek drzwiami?

– Mąż wrócił niespodziewanie, nie miałem wyjścia.

– Cha, cha – zaśmiał się zadowolony i spojrzał na mnie z sympatią – a to ci heca! Nie wyglądasz na amanta... Zauważył coś? – dopytywał się oblizując.

– Nie wiem, narobił pan takiego wrzasku...

– Rzeczywiście, cholera! Przepraszam. Na drugi raz, niech pan uważa, taki mąż może panu kości połamać, albo nie daj Boże, władować kulę w łeb. Co to dla nich, wie pan, to wojskowe osiedle. A pan nie stąd? – spytałem. – Coś pan! Ja przyjezdny, też byłem u takiej jednej, kobitka jak marzenie, mąż na manewrach, ale trzeba uważać! Trzeba uważać – klepał mnie po ramieniu, nie przestając się śmiać z mojej przygody. Na szczęście od dalszych zwierzeń wybawił mnie autobus, wsiadłem akurat nie w ten, co trzeba.

– Może sąsiedzi też widzieli, powiedzą mamie. Co ja teraz zrobię? – przeraziłam się.

– Nikt nic nie widział, wszyscy spali, tylko ten facet, rozumiesz, z tych samych powodów co ja musiał się zerwać o brzasku. W domu powiedziałem, że zasiedziałem się u kolegi na Żoliborzu, dobrze nam się gadało przy lampce wina i tak dalej... Mama nie uwierzyła, kazała mi kłaść się do łóżka. Nie chciało mi się spać. Napisałem wiersz, przeczytasz go, gdy będziesz sama, nie czytaj go w klasie i nie pokazuj nikomu.

Wsunął mi kartkę papieru do kieszeni i znikł tak samo szybko, jak zniknął sprzed moich okien.

Moja rodzina była trochę dziwna, a może źle ją sędzę, może wszystkie są takie. U nas nikt nie okazywał sobie uczuć. Wiadomo było, że się kochamy, siostry siebie nawzajem, rodzice dzieci, dzieci rodziców, babcia wnuki, a wnuki babcie. Taki był schemat, nikt jednak nikomu nie zwierzał się z uczuć, nikt o nich nie mówił. Czułość była rzeczą wstydliwą, ojcu nigdy nie przyszło do głowy, żeby mnie przytulić, pocałować. Kiedy byłam mała, pamiętam, że nieraz prowadził mnie za rękę, ale nie pamiętam smaku jego pocałunków. Kiedy wyjeżdżał gdzieś na dłużej, pochylał się nad moim czołem, zostawiając po sobie zapach lawendy, dlatego tylko zapach pamiętam. Mama czasem mnie przytulała, robiła to bardzo rzadko i tylko wtedy, gdy – jej zdaniem – wyglądałam jakoś specjalnie ładnie albo gdy na występach w przedszkolu recytowałam bezbłędnie długi wiersz, podczas gdy inne dzieciaki potrafiły wyklepać najwyżej jedną zwrotkę.

Mama była szorstka, wymagająca, ojciec powściągliwy, zatopiony w swoich chemicznych wzorach, które nie tyle mnie przerażały, ile ustawiały względem niego w pozycji leżącej, podziwiałam go, ale z daleka. Ojciec nigdy ze mną nie rozmawiał o takich sprawach jak miłość, pytał kim chciałabym być, czy już wybrałam kierunek, wiadomo było, że pójdę na studia. Rodzicom zależało, żebym zdobyła wyższe wykształcenie, mama nic nie skończyła i czuła, że coś ważnego umknęło z jej życia, dlatego chciała, żebym ja zakosztowała rozkoszy zdobywania wiedzy. Też pytała, co będę robić, jak zdam maturę, a kiedy usłyszała, że się wybieram na polonistykę, zaprotestowała stanowczo.

– Po co ci polonistyka? – oburzyła się, ubolewając nad moją głupotą – chcesz całe życie pracować za grosze? Ja się na to nie zgadzam. Musisz mieć konkretny zawód, taki który da ci chleb, czy tu czy tam.

- Gdzie tam?
- Wszystko jedno. Nie wiadomo, jak się potoczą losy. Człowiek powinien umieć robić coś konkretnego.
- O jakim zawodzie myślisz?
- Idź na medycynę.
- Nie mogę patrzeć na krew.
- Więc na politechnikę.
- Wyobrażasz sobie mnie jako inżyniera?
- Tak, wyobrażam sobie. Inżynier to zawsze inżynier, wszędzie potrzebny.

Mnie to nie obchodziło.

– Może one pójda – powiedziałam o siostrach – uczą się dobrze i nie mają za grosz wrażliwości. – Mama popatrzyła na mnie z dezaprobatą, nic już nie powiedziała.

Między mną a siostrami nie było również tej więzi, jaka powinna być pomiędzy rodzeństwem, one były dużo młodsze. To chyba dlatego, że ja z powodu wieku stawałam się dla nich kimś obcym, osobą z innego świata. Dla dorosłych nadal byłam dzieckiem, dziwna pozycja, dzieci mnie odrzucały, dorośli nie chcieli uznać mej dorosłości...

Atmosfera w domu była dość zimna, niedzielne obiady – często bez ojca – jakieś puste, nijakie, każdy zjadał szybko co miał na talerzu i biegł do swoich zajęć. Jedynym człowiekiem, który to wszystko kleił i łątał, była babcia. Ona jedna umiała wziąć za rękę, przytulić czy pocałować, a kiedy było trzeba – wytargać za uszy, a nawet przyłożyć klapsa. Miała w sobie wiele młodzieńczej werwy, żywiołowej energii i pogody ducha. Była po prostu inna, siostry przepadały za nią, nie mówiąc o mnie, natomiast mama traktowała ją z góry jak zdzieciniałą staruszkę. Mówiła: Ty tego nie rozumiesz, to dla ciebie za trudne, nie znasz się na tym. A przecież ona najwięcej rozumiała.

Myślę, że wszyscy mają jakieś żale do swoich rodziców, ja też je miałam, moje dziecko będzie mnie osądzać ze swojego punktu widzenia, inaczej niż ja siebie widzę, chociaż ja swojemu dziecku postaram się dać to ciepło i czułość, których nie zaznałam. Źle się chyba wyrażam, ja wiedziałam, że rodzice mnie kochają, ale tego nie czułam. Owszem, martwili się, kiedy byłam chora, zabiegali o to, żebym miała odpowiednie buty, co jeść, żebym się uczyła, chodziła do szkoły, żebym się nie spóźniała. Sprawy czysto zewnętrzne były przedmiotem ich troski, o nich się mówiło, natomiast nigdy, nawet w chorobie, nie okazywali mi serca. Mama nie umiała się zdobyć na to, żeby z uśmiechem, jak robił to Stefan, zajrzeć mi w oczy, żeby nasze spojrzenia połączyły się ze sobą. Tego nie było, nie wiem, może to wina warunków, naprawdę żyło nam się niełatwo, teraz widzę, że żyło się ciężko, wszystko u nas należało zdobywać, niczego nie kupowało się normalnie.

Moi rodzice nigdy nie mieli żadnych oszczędności. Meble kupowali na raty, telewizor na raty, radio na raty, zdaje się, że ciepłe palta też kupowali na raty. Potem je spłacali co miesiąc, z tych dwóch niewielkich pensji. Pod koniec miesiąca nie zostawało nic, wszystko szło na jedzenie, na światło, na opał. Mama sama zajmowała się praniem, sprzątałyśmy razem, babcia też pracowała na pół etatu i społecznie w klubie seniora. Miała tam swoje towarzystwo. No, a taki duży dom, troje dorosłych i ja z siostrami wszystko na głowie mamy, więc nic dziwnego, że nie miała czasu ani ochoty okazywać mi serca. Może gdyby wiedziała, że to dla mnie ważne, znalazłaby czas. Nie musiała spędzać ze mną całych godzin, nie musiała nawet rozmawiać, przecież jednym spojrzeniem można przekazać więcej niż wieloma słowami.

Wieczorem zerwała się pierwsza wiosenna burza, uciekliśmy do bramy pod jakiś dach, stamtąd pod ścianami domów dotarliśmy na Poznańską. On tam mieszkał, w starym ciemnym domu, z podwórkiem studnią. Okna jego pokoju wychodziły na to podwórze. Mokrzy, zziębnięci, wyskoczyliśmy z windy na czwartym piętrze. Słysząc było jak grzmi, błyskawice rozświetlały okna, przecinały niebo. Stefan zadzwonił do drzwi.

– Ich nie ma. Znowu będziemy sami, mama ma angielski, a ojciec w teatrze.

Wpadamy do jego pokoju, rozbieramy się, zostawiając na podłodze kałuże, suszymy rzeczy w kuchni nad gazem, potem ja ubrana w jego szlafrok prasuję bluzkę.

– Nie, nie! – Odpycham go od siebie. – Zaraz wróci twoja matka. Boję się jej, po wizycie w naszym domu drzę przed spotkaniem z nią. To przejdzie, wiem, ale na razie jestem spłoszona i bojaźliwa, ranią mnie jej spojrzenia. Ma takie oczy, które potrafią zadawać ból, a ja jestem utkana z bardzo kruchej materii, więc jeszcze raz mówię stanowczo „nie” i suszę włosy, przebieram się szybko i niszczę ślady swojej bytności, zacieram je jak przestępca. Nie chcę, żeby cień podejrzenia wśliznął się do jej duszy. Deszcz ciągle pada, ulewa się wzmaga. Jak ja wrócę do domu?

– Zostaniesz tutaj na noc.

– U ciebie? Och! Nie.

– Kogo się boisz? Ojca?

– Nie, nie jego się lękam.

Wiem, przed nim nie muszę się chować. Jeżeli mnie nawet spotka w środku nocy w pokoju Stefana, uśmiechnie się tylko, przeprosi i nic nie powie, ale jego matka, która strzeże cnoty syna jakby był dziewicą, zrobi na pewno coś strasznego.

– Zostaniesz tutaj – upiera się Stefan – zamkniemy się w pokoju. Nikt o niczym nie będzie wiedział, mama wróci późno, nawet do mnie nie zajrzy.

Mam szaloną ochotę być z nim podczas burzy, wśród tych groźnych błyskawic, w mroku, to będzie cudowne. Dzwonię więc do naszych sąsiadów i proszę, żeby ich syn zechciał przekazać mojej mamie wiadomość, że jestem u koleżanki, zostanę u niej na noc, będziemy się razem uczyć. Nie ma sensu wracać w taką ulewę z Ochoty do domu.

Jedna przeszkoda została usunięta, moi rodzice niczego nie podejrzewają, uczę się, za kilka dni matura, dopuścili mnie z łaski, a oni się cieszą, że wreszcie wzięłam się do nauki. Deszcz ciągle pada i robi się późno. Stefan przekręcił klucz w zamku, zjedliśmy już kolację, przyszła jego mama i krząta się w kuchni, coś zjadła, naraz puka do drzwi, ja zamieram, jestem jeszcze w spódnicy i w bluzce, nie zdążyłam się rozebrać.

– Co, ty się zamykasz we własnym domu? – złości się szarpiąc za klamkę.

– Bo się rozbieram, chwileczkę – Stefan ściągnął spodnie, a ja wskoczyłam na parapet i przyłgnęłam do szyby. Stefan bez pośpiechu przekręcił klucz w zamku. Wskoczyłam na okno z torebką przy piersi i stałam przyczajona na czwartym pięttrze. Parapet był wąski, ledwie się tam zmieściłam. Jego matka weszła do pokoju, od razu zapaliła górną lampę i podeszła do okna, a ja wstrzymałam oddech.

– Czuję, że Iga jest tutaj.

Stefan nie odpowiedział, prawdopodobnie wzruszył ramionami i wskazał pusty pokój. Matce to nie wystarczyło, zajrzała do szafy, przesunęła ubranie. Słyszałam, jak wieszaki uderzają o siebie. Coś spadło z hukiem. Zamknęła szafę, nie było już gdzie zaglądać, podeszła do biurka, zajrzała za fotel. Pokój był duży, ale brakowało w nim sprzętów, za którymi można się było ukryć. Teraz szarpnie za zasłonę – pomyślałam – i zobaczy mnie na parapecie, zawieszoną między niebem a ziemią, skuloną, drżącą ze strachu.

Cały czas bałam się, że szyba, do której przyłgnęłam, za chwilę pęknie, a ja wylecę przez okno, pokrwiąw się, mniejsza o krew, roztrzaskam się na betonie. Tak skończy się moja miłość i moje krótkie życie. I oto usłyszałam, jak jego matka uchyla drzwi. Stefan zapytał:

– A teraz mogę się zamknąć? Nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał. Będę się uczył.

– Tak, możesz, czemu nie – powiedziała łagodnym głosem. Już go o nic nie podejrzewała. Stefan przekręcił klucz w zamku, a ja cała mokra od potu, zeskoczyłam na podłogę na miękkich nogach. Powiedziałam:

– Już nigdy, nigdy tu nie zostanę. Co ja teraz zrobię, jak pójdę do łazienki? Muszę się umyć.

– Poczekaj! Oni śpią twardo, nic nie usłyszą, posłuchają „Wolnej Europy” i zasną.

Rzeczywiście, słuchali „Wolnej Europy”, nie trwało to długo, widocznie zmorzył ich sen. W pokoju u nich zgasło światło, wtedy oboje na palcach powędrowaliśmy do łazienki, tam wzięliśmy prysznic i znowu na palcach cichutko wróciliśmy do pokoju. Zamknęliśmy drzwi i z niewypowiedzianą radością spadliśmy na jego olbrzymi tapczan.

Zawsze był pośpiech, lęk, że ktoś nadejdzie, nakryje nas, spłoszy, zawstydzi. Czego myśmy się bali? Nie wiem, to co robiliśmy, było ganione i potępiane, mama uważała pewnie, że nasza miłość jest czysto platoniczna, kończy się na pocałunkach.

Zadzwoiłam i powiedziałam:

– Jest tak, jak myślałam. – Jego zatkaną, nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– To co, co zrobimy?

– Nie wiem.

– Przyjdź do „Gwiazdeczki”.

Rozplakałam się i odłożyłam słuchawkę.

Zamiast do „Gwiazdeczki” przyjechał do domu nieludzko zmartwiony i starał się to ukryć, nadrabiał miną, uśmiechem, ale na jego oczy padał cień. Przytulił mnie, objął gorąco, od razu przestałam się bać.

– Jak myślisz, który to miesiąc?

– Miesiąc? Co ty opowiadasz? Kilka tygodni.

– To dobrze. Co chcesz zrobić?

– To chyba jasne. Masz coś przeciwko temu?

– Ja? Jak ja mogę mieć coś przeciwko temu? Iguś, kochanie, to moja wina, moja, jestem starszy, powinienem był uważać, czegoś ciebie nauczyć, a przede wszystkim uważać. O Boże! Co ja narobiłem! – chwycił się za głowę i biegał wokół stołu. – Nigdy sobie tego nie wybaczę. Iguś! Kochanie moje! – ukląkł przede mną. – Co robić? Co robić? – powtarzał przybity. W jego słonecznych oczach szklily się łzy.

– Nie wiem, nie wiem, zastanowią się po maturze, a teraz pomóż mi rozwiązać kilka zadań, nic mi nie idzie.

Razem też nic nam nie szło. Stefan bardzo się starał, jedno zadanie rozwiązaliśmy wspólnymi siłami, on zdał matkę na piątkę, ale już zapomniał, zresztą nie chodziło o wiedzę, byliśmy w jakiś irracjonalny sposób pozbawieni zdolności logicznego rozumowania, oboje w równym stopniu.

Odesłałam go do domu, ponieważ nie chciałam, żeby rodzice zastali go u nas, powiedzieliby, że wykorzystujemy sytuację i zamiast się uczyć... wiadomo co by mówili, co by myśleli.

Po wyjściu Stefana zrobiło mi się lżej, jeszcze nie lekko i nie beztrąsko, ale znacznie lżej. Odtąd oboje mieliśmy koszarne sny i Stefan przyjechał następnego dnia rano i był ze mną, był ze mną przez kilka godzin i tym razem udało nam się rozwiązać aż dwa zadania. I tak już było do końca, zasłaniał okna, radio grało „Rifi, fifi”, wtedy ciągle, pamiętam, nadawano tę melodię, a my nad zeszytem jak dwoje skazańców...

Poszłam ubrana w białą bluzkę, granatową spódniczkę, zgodnie z regulaminem. Przed szkołą czekał Stefan i obgryzał paznokcie. Włosy sterczały mu jak u czapli, był siny, z cieniami pod oczami. Nie spał całą noc, tak bardzo się denerwował. Ja byłam spokojna.

Zdam ten egzamin, postanowiłam i zdam, nie ma się co denerwować.

Pod drzwiami rodzice, szepty, ogólne podniecenie, przewidywanie tematów. To wszystko toczyło się wokół mnie, ja to widziałam, ale nie mogłam w tym uczestniczyć. Po prostu był to spektakl, aktorzy na scenie grali swoje role, ja sobie patrzyłam, sztuka nie była na tyle ciekawa, żeby mnie wciągnąć. Usiadłam w sali gimnastycznej na wyznaczonym miejscu, podpisałam arkusz papieru z pieczętą szkoły, czekałam aż polonistka rozerwie kopertę. Wśród tematów, tak jak przewidywano, był: Żeromski, romantyzm i Młoda Polska, w żadnym nie czułam się mocna, chyba o romantyzmie jeszcze mogłam coś napisać i wreszcie ostatni temat, dowolny: „Rozwiń słowa poety na podstawie znanych ci utworów...”, słów już nie pamiętam, ale ten właśnie temat wybrałam. Nie spieszyłam się, miałam czas. Dostaliśmy kanapki, herbatę, było nawet przyjemnie, mniejsze napięcie, uśmiechy, szepty. A ty co piszesz, a ty co, a ty? Pracę oddałam przed czasem i wyszłam. Oczywiście Stefan czekał blady, skurczony, wraz z tłumem rodziców na boisku.

– No i jak, jak?

– Napisałam świetne wypracowanie, naprawdę świetne, jeżeli nie narobiłam błędów, a sądzę, że nie, piątka murowana.

– Jesteś za pewna siebie.

– Nie jestem, wiem, co potrafię, na co mnie stać, wiem, jak napisałam, przeczytałam spokojnie całość i dobrze ją oceniałam.

Miałam rację, z polskiego mi się udało, dostałam piątkę, a ponieważ przez cały rok też miałam piątki, (dwójce były z innych przedmiotów), zostałam zwolniona z ustnego.

Na matkę też poszłam spokojnie, nie denerwowałam się wcale. Nie zależało mi chyba na tej maturze. Rozwiązałam jedno tylko zadanie, od razu wiedziałam, że źle. Sama przekreśliłam wynik i taki arkusz, prawie czysty, oddałam nauczycielowi, który zachęcał mnie do wysiłku. Muszę przyznać, że był w porządku, mówił: stać cię na wiele, postaraj się skupić, zastanów się, coś mi nawet usiłował podpowiedzieć. Nie słuchałam, nie mogłam. Kiedy weszłam na salę, powiedziałam sobie: tego egzaminu nie zdam. Autosugestia? Brak wiadomości? Nie wiem. Stefan nie przypuszczał, że tak się stanie, rodzice też. Przez całą szkołę uczyłam się dobrze i nagle ta matma, zaskoczyła ich, właściwie to było mi przykro, nie chciałam nikogo martwić.

Ociepliło się, ziemia i trawa pachną natrętnie. W ogrodzie botanicznym kwitną bzy, ptaki drą się niestrudzenie.

Ja milczę, Stefan też nic nie mówi, po raz pierwszy nie mamy sobie nic do powiedzenia, idę i patrzę pod nogi, bzykają pszczoły, przyroda zalewa nas falą dźwięków, zieleń gęsta i pełna, liście dzwonią cichutko, a my ponurzy, skurczeni i mali, w tej przyrodzie, która rani każdym oddechem. Milczymy uparcie.

Stefan ma mi za złe, po raz pierwszy ma mi coś za złe, że nie stanęłam na wysokości zadania, nie dorosłam, jestem zerem, które udawało kogoś ważnego, trzycyfrową liczbę lub nawet tysiąc. Nad wodą staruszki w ciepłych płaszczach, w szalach, chustach pachnących naftaliną karmią łabędzie, a jeden pan, średnio młody, rozmawia z ptakami: hej, hej, chodźcie tutaj, hej, hej. One wyciągają długie szyje i poruszają skrzydłami, rozumieją, co do nich mówi, i bez pośpiechu z istic królewską godnością jak małe parostatki suną w jego stronę. Stefan bierze mnie za rękę.

– Słuchaj – w jego oczach znowu jest słońce – to przecież nie koniec, dopuszczają cię do ustnego, miałaś trójki?

– Miałam dwójki i trójki.

– Nie szkodzi, masz jeszcze szansę, jeszcze czas. Masz szansę. Idziemy do domu, nie będę ci przeszkadzał, zdążysz się poduczyć.

Miałam dużo czasu, całe dwa tygodnie, w domu było spokojnie, cicho, siostry na wczasach, rodzice w pracy, babcia w klubie seniora. Stefan dotrzymał słowa, nie przyjeżdżał, nie zostawiał wierszy za oknem i nie przysyłał ich pocztą, nikt mnie nie odwiedzał, żadna z koleżanek, wszystkie się uczyły. Dni były pogodne, z rzadka padały deszcze, przeważnie nocą, nic mi nie dolegało, żadna niestrawność czy ból głowy, nie byłam zmęczona, spałam normalnie, czułam się dobrze i chciałam zdać maturę, chciałam mieć to za sobą ze względu na rodziców, na niego. On by się cieszył, gdybym zdała, wiedziałam, ale mój mózg był zatruty, pozbawiony właściwych składników, nie funkcjonował normalnie, nie byłam w stanie zmusić go do wysiłku.

Siedziałam nad otwartym zeszytem, przepisywałam wzory, uczyłam się ich na pamięć. To wszystko. Pamięć działała sprawnie, poza tym nic, inne funkcje były w zaniku, nie rozwiązałam żadnego zadania przez dwa tygodnie. Siedziałam przy biurku, patrzyłam na ścianę, czasem w okno. Z jabłoni sfruwały białe płatki ścigając się z pszczołami, widziałam białe obłoki, puchate jak bita śmietana, nadęte i ważne. Przetaczały się jeden po drugim, zakrywając niewielkie skrawki błękitu, było ich coraz więcej. Patrzyłam na wzory, przepisywałam je mechanicznie, uczyłam się definicji, też je przepisywałam, chciałam wyrwać się z labiryntu, z tego zakłętego kręgu, pokonać własną indolencję i niemoc, udowodnić chociażby sobie, że jestem coś warta i nic, nic... Byłam pusta, bezwolna, nie umiałam walczyć ani o siebie, ani o swoje miejsce na ziemi. O niego też nie umiałam walczyć, może gdybym była bardziej stanowcza, energiczna, zaborcza, nasze życie potoczyłoby się inaczej. Nie narzekam, broń Boże! I tak nic już nie zmienię...

To nie była tępota, lecz przerażenie, straszne, obezwładniające przerażenie i strach, i tworzenie złudzeń, omotywanie się nimi i nieporadność wypływająca z niewiedzy, i lęk, że jest już za późno, i co powie mama. Nie, ona nie może się dowiedzieć, wolę się raczej zabić, taki wstyd.

Iwona... tak, ona jedna będzie w stanie mi pomóc, ona jedna ma doświadczenie, wie, co w takich wypadkach robić. Teraz się uczy, wszyscy się uczą, nikt nie ma czasu. Przede mną ściana, długie puste noce i wzory, definicje, wzory...

Jeżeli dwie linie... Alfa plus beta..., a w nocy niedobre sny, ciągle ucieczki i strzelanina, byłam w niebezpieczeństwie, na dryfującej krze, na łódce bez dna, skakałam z wieży, dom, w którym miałam zamieszkać ze Stefanem, rozpadał się nagle, jak gdyby był z kart. Mama umierała w jakiejś nędznej sali bez okien, Stefan odjeżdżał zapchanym autobusem, do którego ja już nie zdołałam się wcisnąć, szłam przez pole, a wokół mnie padały bomby...

Miłość wymaga ofiar. Taką ofiarą była matura. Nie zdałam. I co gorsza, wcale się tym nie zmartwiłam. Stefan był przy mnie, kochał mnie, to było ważne, a matura to coś z innego świata, coś nierzeczywistego i nierealnego, co oczywiście należało mieć za sobą, ale skoro się nie udało, to trudno. Rodzice jednak byli innego zdania. Mama prosto z pracy poszła do szkoły i wszystkiego się dowiedziała. Nie omieszkano jej powiedzieć, że z pisemnego wyszłam wcześniej i że na ustnym nie odpowiedziałam na żadne pytanie.

Przybiegła do domu, nie zastała mnie. Siedziałam sobie ze Stefanem jak gdyby nic nad Jeziorkiem Czerniakowskim. Mama myślała, że ja sobie coś zrobię, że się załamalam, że mi wstyd. Takie straszne przeżycie. Wyszła sprawdzić, czy się nie utopiłam. No i zobaczyła mnie ze Stefanem, jak siedzieliśmy całując się nad tym jeziorkiem i powiedziała:

– Nigdy więcej! Dosyć tego! Dostyć tych amatorów, dosyć tego włóczenia się, dosyć tracenia czasu, dosyć, dosyć... – Rozwrzeszczała się straszliwie. Złękłam się, że dostanie zawału.

– Cicho – powiedziałam – ja żyję, nic się nie stało.

– Nic się nie stało? A matura, taki wstyd, jak ty będziesz żyła, co będziesz robić?

– Tyle ludzi żyje bez matury, to i ja będę. Zresztą nie ma się czym przejmować. Zdam tę cholerną maturę jak nie za rok, to za dwa. Przecież nie umieram... – Nie, lepiej było już nic nie mówić. Stefan to rozumiał i po prostu się nie odzywał.

– Marsz do domu! – wrzasnęła mama. – Marsz do domu! I ty też, ty też, odejdz stąd! Zejdz mi z oczu, bo cię zabiję! – rzuciła się na niego, chciała go uderzyć, zrobiło się jej wstyd.

– Przepraszam – powiedziała – przepraszam. Idź już stąd! – rozplakała się.

Przyszłam zaraz za nią do domu i nastawiłam Bacha w swoim pokoju. To znowu spowodowało u niej wybuch wściekłości.

– Nic tylko ta muzyka, godzinami siedzisz przy tych płytach, wszystkie powyrzucam, porozbijam – skoczyła do moich płyt.

Zasłoniłam je sobą, wyrwałam parę z jej rąk, ale kilka udało jej się przełamać, zniszczyć. Najukochańsze moje płyty. Krzyczała, ja nic nie słyszałam, wiedziałam tylko jedno, ona jest moim wrogiem, chce mnie rozdzielić ze Stefanem.

– Nienawidzę cię – wychrypiałam – nienawidzę. Chcesz mnie rozłączyć ze Stefanem, chcesz mnie uczynić nieszczęśliwą, chcesz mojej śmierci. Wiesz, że bez niego nie potrafię żyć, chcesz mnie zabić. Dobrze, to zabij mnie, jego też zabij, on też nie może beze mnie żyć...

Na szczęście ojciec wrócił wcześniej z pracy, awantura gdzieś się rozwiła, zawisła w powietrzu. Utulił mamę, mnie nic nie powiedział, zachował się tak, jakby się nic nie stało.

Tego dnia nie było obiadu, mama gdzieś pojechała, myślałam, że do rodziców Stefana. Dopiero kiedy babcia wróciła z pracy, usmażyła omelety i robiła wszystko, żeby było normalnie. Piekla swoje kruche ciasteczka, stała przy kuchni, słuchała radia, czytała „Expres”.

Mama wróciła wieczorem i już spokojnie bez krzyku i łez oznajmiła, że nie pojedę nigdzie na wakacje, będę siedzieć w domu i uczyć się. Muszę to zrobić, dla niej i dla ojca. Powiedziałam, że nie chcę nic dla niej robić. Miłość jest egoistyczna, miłości nie można dzielić, nie można objąć nią całego świata. Kochałam tylko Stefana i nie zdawałam sobie sprawy z cierpienia rodziców, z udreki mojej matki, która sama z wielkim trudem, ucząc się i pracując, zrobiła maturę, a ja zmarnowałam szansę, zlekceważyłam jej trud, zignorowałam życzenia ich obojga, prośby, błagania. Bez żadnego powodu

traciłam czas, przecież nie zabraniała mi się z nim widywać, niczego mi nie broniła, a ja okazałam się niezdolna do miłości i do życia. Mówiłam, że miłość to życie, a nie potrafiłam żyć jak wszyscy. On też nie potrafił.

Rano nikt mnie nie budził, a ja spałam i spałam, nawet kiedy przyszedł Stefan, nie chciało mi się wstawać, kazałam mu zadzwonić do Iwony.

– Powiedz, że mam ważną sprawę. Muszę z nią pogadać, wyśpię się i wtedy...

Wieczorem, kiedy rodzice wrócili z pracy, jakoś później niż zwykle, nie udało się uniknąć rozmowy, na którą nikt z nas nie miał ochoty. Przyszli do mojego pokoju, gdzie ja ciągle tkwiłam w błogim lenistwie, chociaż już nie spałam. Mama oznajmiła, że była w szkole. Wszyscy z mojej klasy zdali, tylko ja jedna, tylko... – rozpląkała się. Ojciec już nie był łagodny i cichy, raczej zrezygnowany i zły.

– Czy ty myślisz – powiedział – że ja mam siłę pracować na taki dom. Myślałem, że pójdziesz na studia, dostaniesz stypendium, a tu jeszcze tyle lat nauki, tyle lat. One dorastają, też je trzeba wykształcić – mówił o siostrach – czy ja mam na to siły, czy mama ma siły?

– Pójdę do pracy – oświadczyłam skruszona.

– Oczywiście, że pójdziesz, ale ty nic nie umiesz, przyjmą cię najwyżej na gońca.

– Umieć pisać bez błędów. W wypracowaniu z polskiego nie zrobiłam ani jednego błędu. Znam się trochę na literaturze. Może by mnie przyjęli do biblioteki?

– Nie przyjmą cię bez matury, może gdzieś na prowincji, to tak, ale w Warszawie raczej nie – podsumowała mama, wycierając łzy.

Te łzy były jakby na pokaz, szybko przestały płynąć, zastygły na rzęsach. Ręka matki starła je niezdarnie z zapadniętych policzków. Poprawiła się na krześle.

– Załatwię ci pracę, rozmawiałam z jedną z moich koleżanek, to bardzo mądra osoba, przedtem jednak nauczysz się pisać na maszynie...

– To dobry pomysł – zgodziłam się.

– Maszynę się pożyczę – poinformowała mnie mama, chociaż ja o nic nie pytałam. Zastanawiałam się, czy nie wykorzystać rzadkiej okazji, gdy byli razem i nie powiedzieć im prawdy. Nigdy! – w porę się powstrzymałam. Doszłam do wniosku, że ich dobiję. Wczoraj jeden cios, dzisiaj drugi. Nie, nie powiem im, umarłabym ze wstydu. Zresztą nie wiedziałam, jakich słów użyć, żeby ich nie zranić. Żadne słowa nie chciały przejść mi przez gardło. Do oczu napłynęły łzy.

– Przestań się dręczyć – skarciła mnie szorstko matka. – Teraz już za późno, co się stało, to się nie odstanie. Wyjźdź na powietrze, zjedz coś. Zobacz w lustrze, jak ty wyglądasz? Chuda, blada, włosy potargane. Wstawaj! – podała mi rękę, zaprowadziła do stołu, a ja zamiast się uspokoić rozpląkałam się głośno, tuliłam się do niej z całym oddaniem, potrzebowałam jej ciepłych piersi, rąk pachnących pietruszką, jej miękkich uspokajających słów, których mi ciągle skąpiła.

Mama łagodnie uwalniła się z moich objęć, zdziwił ją mój wybuch i rozzłościł. Czego ja właściwie chcę! Nie robią mi żadnych wymówek, nie łają, nie krzyczą, starają się znaleźć wyjście. Pójdę do pracy, a w przyszłym roku na pewno zdam, wezmą mi korepetycje, gdyby było trzeba, a teraz... Mama postawiła przede mną kotlet mielony z górami ziemniaków, kompot.

– Lubisz przecież kotlety?

– Tak, lubię – pochyliłam głowę.

Kotlet był słony jak łzy... Mama również straciła apetyt, jadła z wysiłkiem, małymi kęsami, zachęcając mnie swoim przykładem. Ojciec oświadczył, że jadł w pracy. Wypił kompot i poszedł do siebie. Moje łzy zdenerwowały go, za dużo mazgajstwa, roztkliwiania się nad sobą, i to teraz, kiedy jest już za późno.

Nie musiałam niczego wyjaśniać, bawić się w subtelne podchody, Iwona od razu wiedziała, o co chodzi.

– Potrzebujesz lekarza? – spytała bez wstępów.

– Stefan ci mówił?

– Nic mi nie mówił, powiedział tylko, że masz do mnie ważną sprawę, domyśliłam się. Dziewczyny korzystają z mojego pośrednictwa. Nie myśl, że prowadzę tu jakieś biuro, nie, niektórym zdarza się wpadka, wszystkie wiedzą, że mam w rodzinie lekarza, który... no wiesz...

– Właśnie. Mogłabyś z nim porozmawiać?

– Umówię cię, on nie zdiera skóry, ale sama rozumiesz, nie robi tego bezinteresownie.

– Będę miała pieniądze, muszę mieć.

Wymieniła, jak na moje możliwości, zawrotną sumę.

– Powiedz Stefanowi, ty nie dasz rady, chyba że rodzice wiedzą i chcą ci pomóc.

– Nic nie wiedzą, na szczęście wyjeżdżają na trzy dni do Rabki, siostry są tam na wczasach dziecięcych, tak to się chyba nazywa...

– W takim razie trzeba się spieszyć, musisz mieć jakieś badania, morfologię, krzepliwość, dokładnie nie wiem... Zaraz do niego zadzwonię, a ty się rozchmurz i nie miej takiej pogrzebowej miny, nie jesteś pierwsza i nie ostatnia...

– Ty też?

– Nie, ja nigdy, jakoś mi się nie przytrafiło... – uśmiechnęła się ciepło. – Wiesz, ja uważam, mama mi powiedziała, kiedy nie należy, przy okazji zrobię ci wykład, a teraz zadzwonię...

– Zaczekaj! – chwyciłam ją za rękę. – Czy ty się kochasz w Stefanie? – wreszcie wyrzuciłam to z siebie.

Iwona spoważniała, machinalnym ruchem ręki starła z twarzy rumieniec.

– Nie – odpowiedziała patrząc mi w oczy. – Nie – potrząsnęła głową, ale ta odpowiedź zabrzmiała mało przekonująco.

– Ale kochałaś się?

Zastanowiła się chwilę.

– Chyba nie, chociaż zdawało mi się... to było dawno, strasznie dawno... Nie ma to już żadnego znaczenia... Ważne co jest, starajmy się żyć teraźniejszością i przyszłością, przeszłość istnieje tylko w nas, ale tak naprawdę to jej nie ma. Zresztą jesteście za młode, żeby karmić się wspomnieniami.

– Wykręcasz się?

– Możliwe, chociaż nie – zawahała się – chcę być szczerą. Bardzo cię lubię, przyjaźnimy się tyle lat i nagle stosunki między nami stały się jakieś fałszywe, nienaturalne... Może się wydawać, że między nami stanął chłopak, ale to nieprawda, on jest przy tobie, nie między nami...

– Ale byliście razem? – bąknęłam niepewnie.

– Och! Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Przestań się tym dręczyć! On ma zbyt wielkie serce, za wielkie jak na moje wymagania... Ja jestem bardzo zajęta, nie mam czasu na miłość, chcę coś osiągnąć w życiu... dostać się na studia, zrobić karierę, miłość mogłaby mi w tym przeszkodzić, tego się lękam. Wasz przykład nauczył mnie wiele, wy się po prostu niszczyacie nawzajem... ale to wasza sprawa. Nie chcę ci prawić morałów, wiesz przecież, jak jest. Przykro mi z powodu matury, zawsze słyśmy łeb w łeb, teraz zostałaś w tyle, to mnie przeraża, to nie jest normalne, może byś poszła do psychologa, zaczęła się leczyć.

– Uważasz mnie za nienormalną?

– Nie, ale wypadłaś z szyn i ktoś cię musi ustawić na nich z powrotem...

– On mi pomoże.

– Nie da rady, on sam potrzebuje pomocy... To poeta, buja w obłokach, on się nie zmieni, już taki będzie, przy wielkiej inteligencji zostanie wielkim dzieckiem. Dawno chciałam ci to powiedzieć, ale nie było okazji... A o forszę się nie martw...

– Jak to mam się nie martwić?

– Ja mam – roześmiała się dźwięcznie. – Widzisz, o co, jak o co, ale o forszę nie musiałam się nigdy martwić. Chyba powinnam się cieszyć, że moi staruszkowie się rozeszli, urządzili się całkiem dobrze, każde z kim innym, ale... Widzisz wolałabym mimo wszystko, żeby byli razem.

– Dawno nie widziałam twojej mamy.

– Ja też... Żartuję, oczywiście. Wczoraj tu była zobaczyć jak żyję. Przyniosła ciasto, schab pieczony, no i pieniądze, ojciec to samo, dzwoni, zagląda i zostawia mi forszę. Oboje spać po nocach nie mogą, tak się boją, żebym nie zeszła na złą drogę... Ciągłe słyszę upomnienia, przestrogi. Sądzą, że jak mi nie patrzą na rękę, to ja puszczam się, piję. Na szczęście nie jestem głupia. To ważne powiedzieć sobie: nie jestem głupia i nie będę, i żaden chłopak, żaden mężczyzna nie sprowadzi mnie na złą drogę.

– Uważasz, że ja jestem na złej drodze?

– Nic nie uważam, nie mam recepty na twoje życie, mam ją na swoje. Jeżeli ty sądzisz, że można żyć samą miłością, to sobie żyj, nie mam zamiaru cię od tego odwozić...

– Ale nie pochwalasz tego, co robisz?

– Nie jestem twoim sędzią. Przykro mi, że nie zdałaś matury. Szkoda, że nie przysłałaś do mnie wcześniej, może i w tym byłabym ci w stanie pomóc...

– Już mi pomogłaś, dziękuję – schowałam pieniądze do kieszeni. – Patrzę na ciebie z podziwem. Jesteś strasznie stara i mądra.

– Nie, po prostu wiem, czego chcę, a to wnosi trochę ładu w ten chaos, który nazywa się życiem.

Następnego dnia zrobiłam badania w prywatnym laboratorium i siedząc w kawiarni czekałam na wynik. Tam znalazł mnie Stefan. Przyszedł i bez słowa położył pieniądze na stole, znacznie więcej niż dostałam od Iwony.

– Skąd masz? Ukradłeś? – przeraziłam się.

– Sprzedałem aparat fotograficzny.